

dodatek wiadomości kościańskich

nadzwyczajny

maj-sierpień 2013



teksty wybrane

To już 25 lat

Fot. G. Pawlak

Jubileuszowe refleksje

Teresa Masłowska

Fot. Kamila Czechowska



Nie jestem z Kościana. Zetknęłam się z tym miastem, kiedy szukając swojej drogi w życiu, postanowiłam spróbować dziennikarstwa. Niektórzy od dziecka wiedzą, co będą robić jak dorosną, będą lekarzem, strażakiem, czy nauczycielem, ja nie wiedziałam, dopóki nie zaczęłam pisać. I tak dziesięć lat temu z okładem dziennikarska pasja zbiegła się z miłością do miejsca.

Nie jestem z Kościana, ale lubię to miasto. Planty i kasztany nad Obrą, które dopiero co fotografowałam dla zilustrowania tekstu Antoniego Kaźmierczaka do jubileuszowego wydania „Wiadomości Kościańskich”. Lubię Farę, chociaż bez wieży wygląda jakby okaleczona, załki Szewskiej i Świętego Jana, gdzie była kiedyś redakcja „Wiadomości Kościańskich”. Lubię jeździć rowerem po parku, gdzie przejechałam, co prawda za drugim razem, ale jednak dół, który jest testem na odwagę. (Uczniowie redaktora Jurka Zielonki wiedzą, o czym piszę.)

Kocham to miasto, ale też było od kogo zarazić się miłością. Najpierw Marian Koszewski. Pierwszy reportaż – po długiej rozmowie – napisałam o zimach jego dzieciństwa. Potem pracowaliśmy razem w zespole „Wiernych Niepodległej”. Pewnego razu uzupełniając wykaz wsi do jednej z publikacji zapomnieliśmy o Parsku. Oboje perfekcyjniści - długo nie mogliśmy przeboleć tego przeoczenia.

Doktor Piotr Bauer. Znakomity naukowiec, znawca dziejów oręża wielkopolskiego i historii Kościana. Dobry, delikatny człowiek. Jego ulubioną piosenką byli „Ułani, ułani, malowane dzieci...”. Żal, że nie zaśpiewamy już razem.

Twórczy duet: Józef Kubicki i Miron Ratajczak. Pierwszy, przez wiele lat był sekretarzem „Wiadomości”. Pamiętam ich na każdej uroczystości, każdej sesji zawsze nierozłącznych, zawsze razem. Obaj rodem z Ziemi Kościańskiej znali niemal każdą kamienicę, każdą rodzinę. Józef Kubicki do prawie ostatnich dni pracował w archiwum nad swoją ostatnią, niedokończoną książką.

*

„Wiadomości Kościańskie” zaczęłam prowadzić cztery lata temu. Poznałam

wtedy więcej ludzi zakochanych w Ziemi Kościańskiej, którzy na łamach pisma przybliżają jej historię i ludzi z nią związanych. Nie wszystkich da się wymienić, ale...

Tadeusz Hofmański. Poeta, którego refleksyjną, literacką drogę „dochodzenia do Kościana” obserwuję i podziwiam. W jednej z rozmów zapytałam go, czy to nie dziwne, że ludzie kochający miasto, piszący w „Wiadomościach” najczęściej pochodzą z Kościana, ale w nim nie mieszkają, albo w ogóle są z zewnątrz. Odpowiedział jakoś tak, że Kościan najlepiej odczuwać to przybliżając się do niego, to oddalając. Coś w tym jest. Dochodzenie do Kościana nie jest łatwe, ale poeta kreśli nam drogowskazy.

Zdzisław Wojtczak. Typ wojownika, który nigdy się nie poddaje. Ale przede wszystkim niedościgniony wzór pisania sercem, popartego wszechstronną wiedzą i subtelnością narracji. Kiedy czytam jego wspomnienie o szkółce na Kiełczewie, widzę jak żywą nauczycielkę panią Polakową, szafonierę - pierwszą biblioteczkę autora, a nad nią portret Adama Mickiewicza. Nie dziwią więc urokliwe korespondencje z podróży śladami pisarzy i poetów z Litwy, Grodna i Francji. Z utęsknieniem czekam na każdy jego tekst.

Jan Pawicki. Regionalista długodystansowiec, zięć legendarnego już w Kościanie twórcy Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej profesora Bolesława Iglowicza. Łączy nas dawna praca „na kolei” i przyjaźń z ostatnim prawdziwym kolejarzem śp. Henrykiem Ziębą z Poznania. Jan Pawicki - miłośnik Ziemi Kościańskiej pochodzi z Grodziska Wielkopolskiego i dzieli swoje uczucie między gniazdo rodzinne i miejsce zamieszkania.

Zenon Jóźwiak. Chodząca encyklopedia dziejów wojska polskiego. Jeden z naszych młodszych stażem autorów. Rodem z Wielichowa, absolwent „Kolberga”, mieszka i pracuje w Lesznie. Człowiek o ustalonych poglądach na życie i politykę, odmiennych od moich, ale świetnie się dogadujemy.

Katarzyna Żurek. Młoda krew w „Wiadomościach”. Specjalistka od reporta-

ży o koniarzach, wędkarzach i żeglarzach, a ostatnio korespondencji zagranicznych.

W końcu Jurek Zielonka, mistrz i nauczyciel kilkudziesięciu dziennikarzy w kraju i na obczyźnie, od niego to wszystko się zaczęło. Piszą o nim w swoich wspomnieniach w numerze jubileuszowym „WK” Zdzisław Wojtczak i redaktor naczelny, zarazem właściciel pisma Jerzy Wizerkaniuk.

*

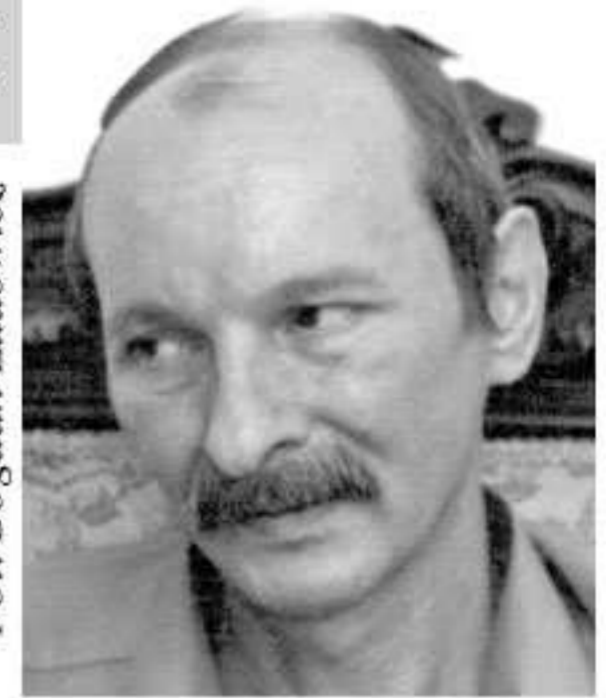
Ćwierć wieku. Szmata czasu i tysiące artykułów i ilustracji. Znaczenie „Wiadomości Kościańskich” dla obecnych i przyszłych pokoleń mieszkańców tej ziemi uświadomiłam sobie przy wyborze tekstów do niniejszego „Dodatku Nadzwyczajnego”. Okazało się, że „WK” od samego początku podejmowały tematy ważne i odważne tak, że można się zastanawiać nad tym jak w latach 1988 – 1990 redakcja radziła sobie z działającą jeszcze represyjną cenzurą. Wybór tekstów bywa z natury subiektywny. Ten nie obejmuje całego ćwierćwiecza pisma. Dokonałam go, korzystając m.in. z iście benedyktyńskiego opracowania wspomnianego już Zdzisława Wojtczaka pt. „100 numerów w jednym” (wydanie bibliograficzne), które opublikowano w specjalnym numerze „WK” z sierpnia 1997 roku. Przyjęłam alfabetyczny układ „Dodatku” według nazwisk autorów, najczęściej piszących wtedy do „Wiadomości”.

Lata dziewięćdziesiąte w Polsce, po zmianach systemowych i likwidacji cenzury, przyniosły z sobą prawdziwy wysyp różnych czasopism. W przeważającej liczbie były to prasowe efemerydy, które szybciej czy później kończyły swój żywot. Nie inaczej było w Wielkopolsce. Ale „Wiadomości Kościańskie” przetrwały ćwierć wieku, więc można mieć nadzieję, że pismo to ukazywało się będzie do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej.

Melchior Wańkowicz zamachowcem

Piotr Bauer*

Fot. Bogdan Ludowicz



W najnowszej historii Polski zamachy na znane osobistości życia politycznego, wojskowego, a także dla sięgnięcia po władzę, do tradycji raczej nigdy nie należały. Nie mniej miały również miejsce i u nas, chociaż nie wszystkie osiągnęły zamierzony cel. Fiaskiem zakończyły się zamachy na dowódcę I Korpusu Polskiego w Bobrujsku w maju 1918 roku, czy też na pierwszy w niepodległej Polsce rząd Moraczewskiego - Piłsudskiego w styczniu 1919 r. Opinią publiczną wstrząsnęło natomiast zabójstwo w grudniu 1922 r. pierwszego prezydenta Polski - prof. Gabriela Narutowicza, później w 1927 r. gen. bryg. pilota Władysława Ostoi-Zagórskiego, którego ciała nie odnaleziono do dzisiaj, czy też w 1931 r. znanego polityka - Tadeusza Hołównki, który zginął z rąk ukraińskich nacjonalistów.

Jakie były kulisy zamachu w Bobrujsku i rola w nim początkującego pisarza Melchiora Wańkowicza, wówczas 26-letniego młodzieńca? Żeby to zrozumieć należałoby cofnąć się do przełomowego dla I wojny światowej roku 1917. Rosją wstrząsnęły wówczas dwie rewolucje. W wyniku pierwszej z nich w lutym upadł carat, a wśród Polaków znajdujących się na terytorium imperium rosyjskiego odżyła idea utworzenia własnej siły zbrojnej. W czerwcu w Piotrogradzie odbył się zjazd wojskowych Polaków, a jego prezesem honorowym wybrany został zaocznie Józef Piłsudski. Podczas obrad powołano do życia Naczelny Polski Komitet Wojskowy, tzw. Naczpol, który zająć się miał sformowaniem na początek jednego korpusu,

1.

Po wielu zabiegach, 8 sierpnia, naczelny wódz armii rosyjskiej generał Ławr Kornilow podpisał rozkaz wyrażający zgodę na formowanie I Korpusu Polskiego i mianujący gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego jego dowódcą. Wybuch rewolucji w październiku 1917 r. i zwycięstwo partii bolszewików

zasadniczo zmieniły sytuację I Korpusu Polskiego, a także Polaków służących nadal w armii rosyjskiej.

Już pod koniec listopada bolszewicka Rada Komisarzy Ludowych wydała dekret o demobilizacji całej starej armii w tym I Korpusu Polskiego. Gen. Dowbor-Muśnicki, traktując Korpus jako przyszłą kadrę odrodzonego Wojska Polskiego, decyzji tej nie podporządkował się i co więcej - zdołał uzyskać zgodę nowego szefa naczelnego dowództwa wojsk rewolucyjnych na koncentrację Korpusu na Polesiu w rejonie Bobrujska. Generał nie wiedział tylko o jednym, że udzielając takiej zgody podjęto równocześnie decyzję o rozbrojeniu Korpusu siłą i to w czasie przemieszczania się polskich oddziałów do wyznaczonego miejsca koncentracji.

Akcję rozbrajania polskich transportów wojskowych strona radziecka rozpoczęła 10 stycznia 1918 r., co doprowadziło do licznych utarczek ze stratami po obydwu stronach. Ze strony Korpusu nie była to jednak walka z rewolucją, lecz typowa samoobrona podjęta przez oddziały zmierzające do rejonu Bobrujska, który opanowano bez ofiar w nocy z 2 na 3 lutego.

W tym czasie nastąpił impas w rokowaniach prowadzonych od grudnia 1917 r. w Brześciu nad Bugiem między przedstawicielami strony radzieckiej i państw centralnych. Rozmowy te, wbrew zaleceniom partii bolszewików, zostały lekkomyślnie zerwane przez Lwa Trockiego. W tej sytuacji wojska niemieckie wznowiły na wschodzie ofensywę i 18 lutego 1918 r. ruszyły w głąb Białorusi. Z chwilą tą sytuacja Korpusu polskiego znacznie się pogorszyła: znalazł się on - jak napisał później znany polityk Marian Seyda - między bolszewickim młotem a niemieckim kowadłem. Wybierając jego zdaniem - najmniejsze zło generał Dowbor-Muśnicki nawiązał kontakt z dowództwem niemieckim podpisując 26 lutego umowę o neutralności i okupacji przez polski Korpus części Białorusi. Nie trwało to jednak długo, bowiem już z nastaniem wiosny Niemcy uznali I Korpus Polski za niepotrzebny, a nawet

uciążliwy, żądając jego demobilizacji, podobnie zresztą jak uprzednio bolszewicy.

Zdecydowana większość żołnierzy Korpusu rokowania z Niemcami popierała, licząc na rychły powrót do domów, z których przed kilku laty zostali przymusowo zabrani do wojska rosyjskiego. Dążeniom tym starała się jednak przeciwstawić nieliczna grupa niepodległościowa związana ideowo z Józefem Piłsudskim. Będąca w opozycji do dowódcy Korpusu grupa stanowiła tajne zrzeszenie pod nazwą Związek Broni. W skład ścisłej komendy Związku, na czele której stanął ppłk dr med. Stefan Hubicki, wchodzili między innymi: kpt. Ignacy Matuszewski, por. Tadeusz Lechicki, por. Stanisław Małagowski, por. Henryk Bagiński (przedwojenny komendant Polskich Drużyn Strzeleckich w Galicji i późniejszy pisarz-historyk) oraz wolontariusze, czyli ochotnicy bez stopnia wojskowego Jan Litauer i Melchior Wańkowicz. Związek propagował walkę z Niemcami, kolportując w tym duchu własne tajne pismo „Sumienie”.

2.

Z liczną rodziną Wańkowiczów zamieszkującą na Białorusi generał Dowbor-Muśnicki utrzymywał dobre stosunki nie tylko towarzyskie. W majątku Birczy należącym do Bolesława Wańkowicza kwaterował przez jakiś czas jego sztab (przed opanowaniem Bobrujska), a sam Dowbor ukrywał się tu przed poszukującymi go czerwonoarmistami. Z kolei z majątku Leona Wańkowicza Korpus otrzymał konie dla formujących się pułków ułańskich, a z jego żoną Stefanią z Broel-Platerów Dowbor-Muśnicki utrzymywał przyjacielskie stosunki do końca swego życia. Już w niepodległej Polsce była ona duchową opiekunką

Stowarzyszenia Dowborczyków i współinicjatorką budowy w stolicy pomnika Dowborczyków (w pobliżu warszawskiej Syreny), rozebranego w 1947 r. Oprócz Melchiora w szeregach Korpusu służył także jego kuzyn Maurycy Wańkowicz, który poległ w pierwszych dniach maja 1918 r. w jednej z potyczek za Dnieprem. Sam Melchior będąc cywilem i początkującym pisarzem pracował jako szef działu prasowego Korpusu i jednocześnie współuczestniczył w redagowaniu nielegalnego „Sumienia”.

Tymczasem w kraju po aresztowaniu w lipcu 1917 r. Józefa Piłsudskiego na czele Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej stanął ppłk Edward Rydz-Śmigły. W tym czasie nastąpiło zacieśnienie współpracy między Polską Organizacją Wojskową a Polską Partią Socjalistyczną Frakcja Rewolucyjna, do czego w niemałym stopniu przyczynił się Tadeusz Hołówko, aktywny członek obu organizacji. Właśnie Hołówko ps. „Kirgiz” i kpt. Barthel de Weydenthal. ps. „Barta” udać się mieli z ramienia tych organizacji na teren Rosji w celu rozpatrzenia możliwości utworzenia tam armii polskiej.

Hołówko w drodze do Moskwy, gdzie zamierzał przeprowadzić rozmowy z kierownictwem radzieckim, zatrzymał się w połowie marca 1918 r. w Kijowie. Tutaj nastąpiło spotkanie z przedstawicielami miejscowej komendy Polskiej Organizacji Wojskowej na Ukrainę: Bolesławem Miedzińskim, Tadeuszem Schaetzelem i Leopoldem Lisem Kulą ps. „Kortyna”. Podczas narady podjęto znamienne decyzję zajęcia się dalszymi losami wszystkich polskich korpusów w Rosji w celu przygotowania ich do walki z Niemcami. Z kolei kpt. Lis-Kula udać się miał do Bobrujska i przygotować tam grunt do przejęcia dowództwa nad I Korpusem Polskim.

Na wiadomość o żądaniach niemieckich w sprawie demobilizacji Korpusu kierownictwo Związku Broni postanowiło przystąpić do działania i nawiązać kontakt z komórkami Polskiej Organizacji Wojskowej na Białoruś i Ukrainę. W tym celu prezes Związku, dr Hubicki, udał się do Mińska, a por. Lechnicki do Kijowa. Z kierownictwa na miejscu pozostał właściwie tylko Wańkowicz. Do niego też zwrócił się

przybyły właśnie do Bobrujska Lis-Kula. Szybko zawarto porozumienie i Związek przekształcił się w oddział Polskiej Organizacji Wojskowej przyjmując nazwę Związku Walki Czynnej z kpt. Lisem-Kulą jako komendantem. Grunt do realizacji planów ppłka Barthela został przygotowany.

Niebawem Lis-Kula zameldował się u gen. Dowbora-Muśnickiego i przedstawiając się jako oficer legionowy i komendant miejscowego oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej, zaoferował swoje usługi w walce z Niemcami. Wydarzenia potoczyły się teraz szybko. 19 maja do Bobrujska przybył ppłk Barthel. W dniu następnym dowództwo „Ober-Ostu” wezwało telegraficznie generała Dowbora-Muśnickiego do Mińska, gdzie udał się jego zastępca gen. Aleksander Karnicki. 21 maja dowództwo niemieckie zażądało rozbioru Korpusu i przetransportowania zdemobilizowanych żołnierzy do kraju, przy czym oczekiwano bezwzględnej odpowiedzi: tak lub nie i to w terminie ostatecznym do godziny 18.00.

Gen. Dowbor-Muśnicki postawiony został przed niezwykle trudnym wyborem. Mógł przyjąć warunki Niemców i w ten sposób zachować kadry Korpusu, lub podjąć wprawdzie honorową, lecz wobec przewagi nieprzyjaciela beznadziejną walkę, która pociągnęłaby za sobą wiele ofiar. Po długim namyśle i bezskutecznych zabiegach o złagodzenie niemieckich warunków, generał zdecydował się na kapitulację i demobilizację Korpusu. Nie przypuszczał wówczas, że ta humanitarna decyzja wywoła w stosunku do jego osoby niechęć popierającej go dotychczas endecji (Narodowej Demokracji), a także stanie się zaczątkiem konfliktu z Piłsudskim.

3.

Rankiem 21 maja, gdy w Mińsku toczyły się rozmowy kapitulacyjne, peowiacy postawieni zostali w stan pogotowia bojowego, a w mieszkaniu dra Hubickiego odbyła się narada wojenna. Oddajmy teraz głos uczestnikowi tych wydarzeń, Melchiorowi Wańkowiczowi:

„... Była bodaj godzina 10. Odbyła się teraz obrada ostateczna, w której ja, jako nie mający wykształcenia wojskowego, bierny tylko brałem udział. Mocą

narady tej Barthel został komendantem Korpusu, Matuszewski szefem sztabu, Lis komendantem twierdzy, więc również naczelnikiem garnizonu i kierownikiem antyniemieckiej operacji w samym Bobrujsku. Po czym zaczęto układać plan bojowy. Planu bowiem opanowania władzy nad Korpusem i aresztowaniem generała układać nie trzeba było. Wszystkie oddziały były w naszym ręku i sprawiała to nie rozgałęziona organizacja Związku Walki Czynnej, bo ta ostatnia była bardzo nikła w szeregach, ale duch, postawa i nastrój żołnierza...

Około 12-tej plan był gotów. Dyspozycje dla oddziałów wydane. Zachodziła kwestia, czy jeszcze zwrócić się do generała Dowbora. Barthel postanowił raz jeszcze zwrócić się z propozycją prowadzenia Korpusu do walki. Wyznaczono rozpoczęcie akcji na 2 w nocy. Lis polecił mi być przy sobie. Siedliśmy w samochod. Przy szoferze siedział oficer wywiadu korpusowego. Ten załatwił sprawę z patrolami, gęsto krążącymi po mieście i zatrzymującymi samochód oraz z wartą przy wjeździe na wały forteczne. Weszliśmy z Lisem do brzoźowego gaiku, który rósł naprzeciwko sztabu Korpusu..”

Wkrótce przybył ppłk Barthel ze swym sztabem. Przywódca spiskowców zwlekał jednak z wydaniem rozkazu o przystąpieniu do akcji, łudząc się, że postawiony przed faktem dokonanym gen. Dowbor-Muśnicki zdecyduje się jednak pokierować działaniami zbrojnymi przeciwko Niemcom. W celu nakłonienia go do tego, w asyście kilku oficerów, udał się do pomieszczeń sztabowych i stając przed gen. Dowborem-Muśnickim oświadczył: „W imieniu Józefa Piłsudskiego żądam, by generał objął kierownictwo bitwy z Niemcami, która już się rozpoczęła”.

W tym miejscu następują rozbieżności w relacjach, co do dalszego przebiegu wydarzeń. Według Wańkowicza żądanie to Dowbor odrzucił, próbując zamierzyć się na Barthela. Wówczas wycelował do niego z pistoletu por. Mieczysław Gielniewski będący tej nocy dowódcą warty oficerskiej w sztabie. Z kolei gen. Dowbor-Muśnicki napisał, że po jego odmowie towarzyszący Barthelowi por. Gielniewski wymierzył do niego z broni i wówczas zasłonił go swoim ciałem

adiutant - porucznik Witold Szebeko. W każdym bądź razie dowódca Korpusu został aresztowany i zamknięty w swoim mieszkaniu. Uwięziono także kilku wiernych Dowborowi oficerów oraz niemieckiego oficera łącznikowego por. Carla Friedricha Goerdelera.

Pomimo usunięcia dowódcy Korpusu spiskowcom nie udało się osiągnąć celu zamachu. Dowódcy dywizji powiadomieni telegraficznie o rzekomo dobrowolnej zmianie na stanowisku dowódcy Korpusu nie dali temu wiary i nie chcieli podporządkować się samozwańczemu dowódcy. Zamach zakończył się fiaskiem, a jedyną jego ofiarą był por. Gielniewski, który odebrał sobie życie strzałem z pistoletu.

4.

Początkowo gen. Dowbor-Muśnicki pozostawił przywódców spisku w spokoju, polecając im nawet przez swego adiutanta opuszczenie Bobrujska. Najpilniejszą sprawą było bowiem uwolnienie niemieckiego oficera łącznikowego i załagodzenie ewentualnych następstw zamachu. Generał musiał się poniżyć i przeproszać Goerdelera, tego samego, który znacznie później brał udział w przygotowaniach i nieudanym zamachu na Hitlera w dniu 20 lipca 1944 r. w kwaterze w Kętrzynie.

W pewnym sensie drugą ofiarą zamachu był Melchior Wańkowicz, bowiem gdy wszyscy spiskowcy opuścili Bobrujsk - on jeden pozostał i wkrótce został aresztowany. Jak później twierdził uczynił to celowo i miał to być protest przeciwko niepodjęciu walki z Niemcami.

„..... Uwięzienie mnie - pisał Wańkowicz - było takim samym nieobliczalnym odruchem, jak tyle innych zarządzeń. Była duża możliwość, że Niemcy zechcą wykazać politykę twardej ręki i zażądają albo rozstrzelania winnych albo wydania ich niemieckich jurysdykcji (Korpus bowiem, mocą warunków kapitulacji, wszedł od 6 godziny 21 maja w skład 10 armii niemieckiej jako jeden z jej



Melchior Wańkowicz. Źródło – Wikipedia .

oddziałów). Jaka w tym wypadku byłaby pozycja generała? Drugą ewentualnością było nieingerowanie Niemców, co też się stało. Wtedy albo należało mnie skazać za bunt wojskowy w twierdzy, albo uniewinnić. W pierwszym przypadku mogłaby to być kara śmierci, na co by się generał, niezdeprimowany wyraźnie przez Niemców nie ważył; w drugim - byłaby usankcjonowaniem buntu, potępieniem dowództwa. Przez moje aresztowanie dowództwo znalazło się w sytuacji trudniejszej. Ni stąd, ni zowąd aresztowano niejakiego doktora Biernackiego, osobistość cieszącą się najgorszą opinią w Korpusie, który w naszej pracy organizacyjnej nie brał udziału, ale znalazł się jakimś cudem w grupie łączników...

Po trzech dniach, kiedy ze strony niemieckiej było głucho, obawa, że mnie rozstrzelają zaczęła się zmniejszać. Była, co prawda możliwość, że dowództwo 10 armii przyśle swego przedstawiciela na sąd, który będzie miał za zadanie dać groźny przykład, sterroryzować wrogie Niemcom masy żołnierskie, tracąc poczucie dyscypliny i postawić w ten sposób prestige niemiecki. Ale myślałem,

że „jakoś to będzie” i zupełnie w głowie nie chciało mi się pomieścić, żebym miał zginąć...

Sąd trwał 11 godzin. Przesłuchano 40 świadków. Sądzone mnie i Biernackiego. Swoje ostatnie słowo mówiłem z zezwolenia sądu siedząc, bo mi jaskrawe koła migotały w oczach i czułem silne dreszcze... Sąd mnie uniewinnił...”

5.

W ten sposób Wańkowicz został uratowany i mógł napisać później swoje poczytne książki. Gen. Dowbor-Muśnicki popełnił jednak poważny błąd, który zaciążył później na jego karierze wojskowej. Podając do ogólnej wiadomości w rozkazie dziennym o uniewinnieniu Wańkowicza zarzucił jednocześnie Barthelowi, Lisowi-Kuli i Matuszewskiemu tchórzostwo i ucieczkę, co przecież nie odpowiadało

prawdzie. Podał przy tym, że byli to „nie Polacy, a łotry działający za cudze pieniądze”. Tym zdaniem zaszkodził sobie najwięcej, gdyż ugodził w honor legionistów-piłsudczyków. Dalszą reperkusją zamachu było wyzwanie Dowbora przez Bartheta i Lisa-Kulę do pojedynku. Generał je odrzucił twierdząc, że zgodnie z kodeksem honorowym pojedynkowanie się z byłymi podwładnymi mu nie przystoi.

Zarówno Lisowi-Kuli jak i Barthelowi nie dopisało szczęście żołnierskie. Obaj zginęli w walkach jeszcze w 1919 roku. Pierwszy z nich poległ jako 22-letni podpułkownik pod Torczynem na Wołyniu, natomiast drugi, starszy zaledwie o cztery lata - w kwietniu podczas odwrotu 4 Dywizji Strzelców Polskich z Odessy.

WK nr 5/1989

* Dr Piotr Bauer – autor m.in. pierwszej biografii gen. Józefa Dowbora Muśnickiego – zmarł w 2007r. w Kościanie i tu został pochowany na cmentarzu komunalnym.

Medytacja po polsku

o. Jan Bereza
(OSB)*

Fot. Bogdan Ludowicz



Dlaczego medytacja?

W każdym z nas jest miejsce zupełnej ciszy. Miejsce, w którym najłatwiej spotkać Boga. Medytacja pozwala nam do tego miejsca dotrzeć i dzięki temu bez lęku budować nasze życie, nasze odniesienie do innych ludzi, do świata. Jest to doświadczenie wielu ludzi praktykujących codziennie medytację.

Droga do medytacji

Droga do medytacji dla wielu z nas była podobna. Zapewne wpłynęło na te poszukiwania jakieś zniechęcenie zmaterializowaną kulturą Zachodu czy zachodnim formalizmem religijnym, a przez to i zapewne większe zainteresowanie i otwarcie na Wschodnią tradycję duchową. Niektórzy z nas wcześniej już praktykowali jogę czy zen. Wielu z nas prawdopodobnie dręczyło pytanie: jaka jest zachodnia tradycja medytacji i jak wykorzystać głębokie, duchowe doświadczenie innych kultur w naszych codziennych praktykach religijnych.

Początki

Nie było gotowych, całościowych odpowiedzi i zapewne każdy z nas szukał ich samodzielnie. Pierwszym przełomem był rok 1986. Studiowałem wtedy teologię w Poznaniu, mieszkając w klasztorze Karmelitów Bosych. Ojciec Jan od Krzyża, po przeczytaniu książki o. Antoniego de Mello „Sadhana, czyli ścieżka do Boga”, odważył się rozpocząć wspólną praktykę medytacji według wskazań autora tej książki. Na wspólne, raz w tygodniu, spotkania przychodziło około 20 osób. W tym też czasie, za pośrednictwem o. Bede Griffiths'a OSB, nawiązałem kontakt z o. Laurence Freemanem OSB z Montrealu i dzięki niemu zapoznaliśmy się z nauką Ojca John Maina OSB. Poczuliśmy się wtedy znacznie pewniej.

Lubiń

W 1988 r. wróciłem do swego macierzystego klasztoru w Lubiniu. Kilka osób jednakże z grupy zaproponowało dalszą praktykę w Lubiniu. Ponieważ Lubiń nie ma najlepszych połączeń komunikacyjnych zdecydowaliśmy się organizować wspólne spotkania raz w miesiącu, za to dwudniowe. Lubiń, jak wiele benedyktyńskich klasztorów, jest dość otwarty, dlatego mogliśmy włączyć się w klasztorny rytm dnia: modlić się wspólnie z innymi mnichami, uczestniczyć we Mszy św., a także wspólnie pracować. Poza tym spotykaliśmy się zwykle cztery razy dziennie

na godzinnej medytacji (2 x 30 min.) Pierwsze spotkanie odbyło się we wrześniu 1988 roku.

Kto przyjeżdża?

Od czasu pierwszego spotkania wiele osób wspólnie z nami praktykuje medytację. Niektórzy byli tylko raz. Inni przyjeżdżają od czasu do czasu. Jest jednak około dwudziestu osób, które przyjeżdżają dość regularnie. Są to ludzie z całej Polski. Najwięcej z Poznania i Warszawy, czy miejscowości położonych niedaleko Lubinia, jak Leszno, Gostyń, czy Śrem. Ludzie różnych zawodów i w różnym wieku, tak samo świeccy, jak i klerycy. Kilka razy był też o. Jan od Krzyża, a także karmelici z Krakowa. Dziś Ojciec Jan wraz z nimi zakłada klasztor w Czechosłowacji. Jest więc nadzieja, że i tam będzie znana nauka Ojca Johna Maina.

Nie tylko medytacja

Doświadczamy wspólnie, że medytacja, kierując nas w stronę Rzeczywistości poza słowami i koncepcjami, umożliwia spotkanie z każdym człowiekiem, bez względu na jego światopogląd. Od czasu powstania „Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich” i Sekretariatu dla niechrześcijan, Stolica Apostolska widziała możliwość i potrzebę włączenia się do dialogu właśnie klasztorów kontemplacyjnych. Również i w Lubiniu sesje medytacyjne były okazją do spotkań z przedstawicielami innych religii. W 1989 roku gościliśmy mnichów z tradycji koreańskiej buddyzmu-zen z Nauczycielem Dharmy Do Am Dzi Pap Sa Nim na czele, w 1990 r. zaś Kwong-roshiego z Sonoma Mountain Zen Centre w Kalifornii, a także p. Odette Baumer-Despeigne, która jest przedstawicielką na Europę Towarzystwa Abhishiktanady (czyli O. H. Le Saux OSB) oraz doradcą międzyklasztornej organizacji do dialogu między Wschodem i Zachodem (North America Board for East-West Dialogue).

Nie tylko Lubiń

Miniony czas był też okazją do wielu spotkań, wykładów i wspólnej praktyki medytacji poza murami klasztoru. Szczególnie miło wspominać spotkanie w Seminarium w Pelpinie, gdzie miałem wykłady dla ok. 150 kleryków, a także wspólną praktykę medytacji. Ważne też było spotkanie z Mistrzem koreańskiej tradycji buddyzmu-zen Suen Sahm i japońskiej - Kwong-roshim w Tyńcu, które zaowocowało potem szeregiem spotkań w Warszawie i - jak wspominałem - w

Lubiniu, a ostatnio także w Sanona Mountain Zen Centre w Kalifornii, gdzie obok buddów i bodhisattwów można zobaczyć Czarną Madonnę z Częstochowy i doświadczyć jak wiele szacunku i podziwu mają buddyści dla naszej kultury i religii.

Co jest najważniejsze w medytacji?

Medytacja jest drogą ubóstwa, drogą „pustki”, czy inaczej mówiąc umierania samemu sobie - „kto straci swoje życie, ten je zachowa”... Tak często mówimy, że potrzebna jest nam łaska Boża, ale nasze ręce i serca są ciągle zajęte i nie mogą przyjąć daru miłości. Medytacja pozwala nam w swej prostocie zostawić wszystko i liczyć tylko na Boga. I, jak mawiał Ojciec John Main, „nie ustawać w nieustawaniu” („keep on keeping on”)

Rola w Kościele

Większość z nas jest katolikami, choć nie jest to warunkiem, aby praktykować z nami medytację. Mimo, że nigdy nie próbowałem nikogo bezpośrednio nawracać na katolicyzm, to jednak zdarza się, że ktoś po kilku spotkaniach powraca autentycznie na łono Kościoła. Wielu też leczy tu swoje urazy i zale do Kościoła. Kilka też medytujących osób zostało oblatami klasztoru

Przyszłość medytacji w Polsce?

Hałas i aktywność dzisiejszego świata stwarza naturalną potrzebę ciszy i spoczynku, a więc medytacji i kontemplacji. Potwierdza to rozwój ośrodków medytacyjnych na zachodzie Europy i w Północnej Ameryce. Polska dziś próbuje dogonić Europę i świat. Ufam, że i na płaszczyźnie medytacji będzie to możliwe. Klasztor benedyktyński w Lubiniu otwarty jest dla każdego, kto spragniony jest ciszy, pokoju i wewnętrznej przemiany. Pragnieniem każdego z nas jest służyć każdemu, kto chciałby zdążyć do Boga ścieżkami medytacji i kontemplacji.

WK Nr 4/1992

* Powyższy tekst ojciec Jan napisał podczas pobytu w Osage Monastery w Oklahomie (USA), dla pisma „Z POMOCA” wydawanego w Ottawie przez St. Yacinth Mission Fund. Ojciec Jan Bereza zmarł w 2011r. w Lesznie, pochowany został na cmentarzu parafialnym w Lubiniu.

On nas rozpuszczał!

Rozmowa z Wandą Piłsudską, córką Marszałka Józefa Piłsudskiego

Ryszard
Biberstajn

Grafika z Wikimedii



- Czy rozpoznaje pani siebie na tym zdjęciu?

- Tak, siedzę na stopniach, pierwsza z lewej, obok matki. A siostra Jaga siedzi ojcu na kolanach. O, jest i Kasztanka! Tak, ojciec nie mógł się bez niej obejść. Kiedy to zdjęcie zrobiono w 1925 roku na tle frontonu domu w Sulejówku, Kasztanka była w 7 Pułku Ułanów. Specjalnie ją przyprowadzono „na widzenie”. Ja świetnie Kasztankę pamiętam. Jeździłam na niej.

- Pani Wando - czy mogę się tak do pani zwracać? Jest pani w Polsce dopiero od niedawna...

- Tak. Od trzech lat mieszkam w Polsce, w Warszawie, w pobliżu Łazienek. Od wojny natomiast mieszkałam w Anglii, głównie w Londynie. Tam studiowałam medycynę, a później zostałam psychiatrą.

- Co spowodowało, że wróciła pani do rodzinnego kraju?

- Zawsze bardzo tęskniłam i chciałam tu wrócić. Wydawało się jednak, że nie było w Polsce właściwej atmosfery ani sprzyjającego klimatu wokół osoby mego ojca.

- Chociaż ten klimat zawsze był dwojaki. Z jednej strony oceniano go jako przywódcę „sanacyjnej Polski”, a z drugiej w kryptach wawelskich przy sarkofagu Piłsudskiego było najwięcej świeżych kwiatów.

- Tak podobno było. Kiedy ów klimat się zmienił, to wróciłam z siostrą, jej mężem i dziećmi. No i od razu odżyły moje wspomnienia z dzieciństwa.

- No właśnie. Czy była pani w Sulejówku w ostatnich latach?

- Tak, naturalnie że byłam. W naszym dawnym domu znajduje się teraz przedszkole, a budynek jest w dość dobrym stanie.



Piłsudski z córkami w Krynicy.

Pierwsza z prawej Wanda Piłsudska.

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Ponadto z ogromnym wzruszeniem myślę o Pikieliskach na Litwie, dokąd w dzieciństwie jeździłam na wakacje.

- Pani domem był także Belweder...

- To był nie tylko gmach urzędu, ale rzeczywiście nasz dom. Zatem przychodziły do niego moje koleżanki, był miejscem mego dorastania i zabaw. Jednak obecnie Belweder jest mi obcy. Nie wiąże mnie z nim jakiś szczególny sentyment.

- Skoro mówimy o wspomnieniach, to porozmawiajmy o pani ojcu. Jakim był, czy znajdował dla was, swoich córek czas?

- O, dla dzieci miał zawsze czas. Uwielbiał zabawy z nami. Jego zwykle surowe spojrzenie spod krzaczastych brwi zawsze łagodniało przy nas. On nas rozpuszczał!

- Proszę przypomnieć jakieś zdarzenie, epizod z życia rodzinnego z udziałem pani ojca.

- Tyle tego było... Nie wiem, co powiedzieć. Tyle lat... O, jest taka fotografia: ja z ojcem na deptaku w Krynicy. Pan zna Krynice? To znana miejscowość w górach. Przez wiele lat na każde Boże Narodzenie matka zabierała nas w to właśnie miejsce. Siostra była wątłego zdrowia i te pobyty miały jej pomóc. Ojciec nas odwiedzał. Wtedy brał mnie na długie spacery. Na jednym z nich zrobiono nam zdjęcie. Miałam wtedy 11 lub 12 lat. Nic szczególnego, taki spacer, ale dla mnie te chwile były bardzo ważne.

- Pani ojciec jako polityk miał wiele planów. Czy pani zdaniem udało mu się je zrealizować? Na to pytanie odpowiedzieli już co prawda historycy, ale ciekawi mnie pani osąd.

- Myślę, że nie zrealizował wszystkiego, co zamierzał. Pamiętam, że najbardziej chciał scalić podzielony naród. Zarówno podzielony ze względu na wcześniejsze zabory, jak również narodowościowo.

- Piłsudski podobno nie przepadał za Wielkopolską...

- To jest subiektywne odczucie Wielkopolan. Nie pamiętam, żeby o tym regionie źle się wypowiadał. Ale oczywiście, że najbardziej rozkochany był w Litwie, skąd przecież pochodził.

- Zdjęcie, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę, wykonane

zostało w 1925 roku. Rok później był tzw. przewrót majowy. Jak pani przeżyła ten dramatyczny, napięty przecież czas?

- Z przewrotu niewiele pamiętam. Prawie nic. Byłam wtedy przecież małą dziewczynką. Przewrót majowy znam bardziej z oceny historyków, niż jakoś inaczej. W każdym razie wiem, że ojciec był patriotą i nigdy nie myślał sobie.

- Kiedy pani przyszła na świat, można było mówić o pewnej stabilizacji w życiu rodzinnym Piłsudskiego. Ale w jego wcześniejszym życiu znajdują się bujne epizody miłosne... Był jak to się potocznie mówi, kochliwy...

- Nie przypominam sobie. Może i był. Kiedy miał już nas - siostrę i mnie, był wzorowym mężem i ojcem.

- Pani Wando, pomówmy jeszcze o pani. Czy łatwo być córką postaci historycznej owianej legendą?

- Owszem, nachodzą mnie czasem dziennikarze i inni ludzie, chcący się jeszcze czegoś o ojcu dowiedzieć. Odmawiam udzielania wywiadów.

- Powinienem więc nazywać siebie szczęściarzem, że zgodziła się pani ze mną rozmawiać dla „Wiadomości Kościańskich”?

- Tutaj w Kościanie to co innego. Jesteście wszyscy tacy życzliwi.

- Pani jest w Kościanie pierwszy raz?

- Tak, ale chyba nie ostatni. Ja tu jeszcze przyjadę. Wtedy też chętnie się z panem spotkam.

- Trzymam za słowo. Tymczasem dziękuję serdecznie za rozmowę.

WK nr 7/8/1995

*) Dr Ryszard Biberstajn jest poetą i wykładowcą akademickim. Urodził się w Śmiglu, mieszka w Lesznie. Zdjęcie, o którym mowa w wywiadzie nie zachowało się w redakcyjnym archiwum. Zamieszczamy tutaj inną fotografię Marszałka z córkami. Wanda Piłsudska, lekarz psychiatra, pierworodna córka Józefa Piłsudskiego urodzona 7 lutego 1918 w Warszawie, zmarła 16 stycznia 2001 r. w Warszawie.

Murzyn

Dr Jerzy Brykczyński jest cenionym znawcą rolnictwa egzotycznego; tłumaczem z języka angielskiego prac o agrokulturze tropikalnej. Był ekspertem polskiego rolnictwa w Afryce i Azji. Tam powstały jego utwory literackie. Podchorąży Armii Krajowej, wybitny działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, współtwórca Klubów Inteligencji Katolickiej, działacz NSZZ „Solidarność”, internowany w Darłówku. Jego opowiadania ukazywały się drukiem m.in. w londyńskich „Wiadomościach Literackich” i w oficynie „PAX”. Teraz debiutuje na łamach „Wiadomości Kościańskich”. Ma 75 lat, mieszka w Choryni (gm. Kościan). Zbiór jego opowiadań przygotowuje do druku jedna z kościańskich oficyn wydawniczych. (J.Z.)

*

Proboszczem mojej parafii w Akerley nad Wolą był Afrykanin, Father Washington, o pięknych rysach, reprezentował typ urodziwego członka plemienia Ashantich z okolic Kumasi. Chodził zawsze wyprostowany, energicznym krokiem, pełen życia. Cieszył się ogromnym autorytetem okolicznych wsi, które odwiedzał często, pieszo lub na rowerze i bez asysty. Był równocześnie kierownikiem miejscowej szkółki, opiekunem szpitalika i dorywczym wykładowcą w pobliskim seminarium. Do kościoła w Akerley przychodzili mężczyźni nie mniej licznie niż kobiety.

Był autorytetem nie tylko dla swoich. Pamiętam, jak kiedyś zajechało przed plebanie auto z kilkorgiem roześmianych Amerykanów. Na widok proboszcza i upewniwszy się dość obcesowo, że jest proboszczem, panie szczebiocząc, a panowie kordialnie przedstawili mi jakąś sprawę, tycząca się formalności związanych z aktem ślubu. Ksiądz poprosił ich dalej, a ja zostałem na werandzie. Gdy wychodzili, robili to bardzo cicho i dyskretnie, a panowie trzymali kapelusze w rękach.

Mimo, iż przyjaźniliśmy się, nie mówił mi nigdy o swej przeszłości wojskowej. Dopiero przypadkiem od jakiegoś starszego Anglika dowiedziałem się, że jako kapelan odbył całą kampanię w Burmie przeciw Japończykom i że

siedzieli potem w jednym japońskim obozie jenieckim. Nie był to jednak ten sam obóz w tym sensie, że Murzynów trzymano osobno, a ksiądz jako duchowny katolicki doświadczył tam specjalnych cierpień i upokorzeń. Najbardziej skatowano go, jak wspomniał ów Anglik, za odmowę deptania różańca rzuconego na ziemię przez dozorcę obozowego.

- To był równy facet dużej klasy, podsumował mój rozmówca. Prosił też bym pozdrowił Ojca w imieniu kumpli z Eton, jak się wyraził.

- Fajne były chłopaki - skwitował Father Washington uwagi Anglika i więcej nic z niego nie wydusiłem.

Przyjaźń nasza rozpoczęła się w pewnym sensie zaraz, gdy go poznałem. Kiedy się przedstawiłem, spojrzał na mnie uważnie:

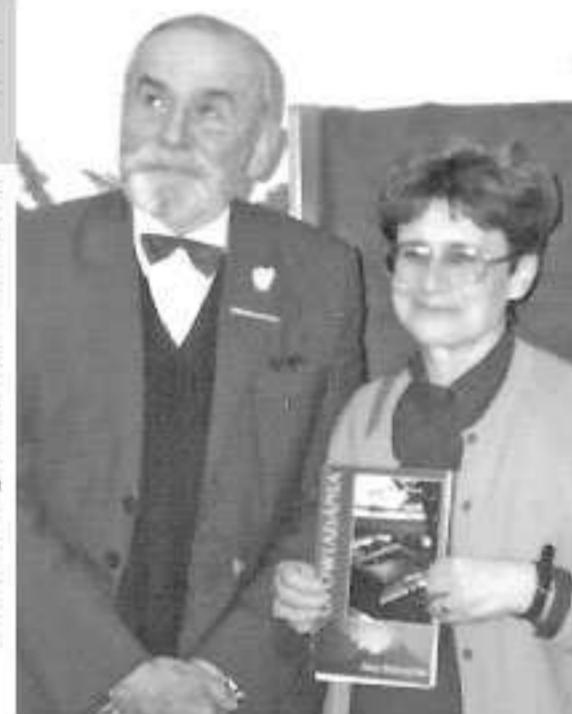
- A więc jesteś rodakiem Conrado.

Z tonu, jakim to powiedział pojąłem od razu, że będę miał przyjaciela. Musiał dużo czytać, bo spytał czy pochodzę z „Wołynia” i czy znam rodzinę Sanguszków. Opowiadanie o księciu Romanie musiało go bardzo zafrapować. Wyobrażam sobie, że tam u Japończyków, musiał także deklarować swą postawę - „z przekonania”.

Mijały miesiące i lata. Ceniłem sobie nasze milczące nieraz wieczory na werandzie starej plebanii. Kiedy w kraju wybuchały rozruchy, ksiądz prowadził swą działalność nadal równie energicznie, jak dawniej. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że grozi mu niebezpieczeństwo. Kiedyś, chcąc go przestrzec, zaszedłem wieczorem do kościoła. Było tam dużo modlących się. Wśród nich ksiądz. Wieczna lampka migotała, w kościele było ciemno, przeleciał cicho nietoperz, a oni rozpoczęli ściszonymi głosami śpiewać znaną mi miejscową pieśń Maryjną. Stojąc w drzwiach kościoła koło konfesjonatu, przyglądałem się tej scenie, jak żywcem wziętej z odległych czasów. Na zewnątrz - z jednej strony podburzona wioska, pełna światełek, a jednak pogrążona w mroku - z drugiej, jedno czy dwa światła znaczące dom misyjny. Cisza i spokój, tylko dalej jeszcze za ogromnym baobabem, znać było na niebie cień odchodzącej wśród cichnących grzmotów, spóźnionej wieczornej burzy. Nad domem

Jerzy Brykczyński*

Z żoną Lidą.
Fot. Bogdan Ludowicz



misyjnym widać było jakąś konstelację, która mi przypominała Europę i dom rodzinny. W ciepłym podmuchu wieczoru pachniało jeszcze lekko kadzidłem, a w migocącym świetle czerwonej lampki oliwnej ujrzałem teraz mego przyjaciela, błogosławiącego tłum. Blisko niego jakaś bezzębna Murzynka wypowiadała nieznanne mi słowa, zacinając się chrypliwie i kotłując z lekka. Wyjrzałem znowu i otrzeźwiałem, widząc, że tłumy na ulicy nie rzedną. Wyszedł i proboszcz. Był optymistą.

- Te zamieszki nie mają żadnego sensu. To niepoważna sprawa. Przeczekaemy je bez trudu. Ale ludzie mieli rację!

W wiosce wrzało jednak nadal. Ktoś ludzi podburzył. Odpędzeni sprzed kościoła przez wojownicze kobiety, szli teraz na misję, gdzie mieściła się szkoła i szpitalik. Ktoś rzucił rytmiczne hasła. Odpowiadał chóralny odzew. I jeszcze raz i jeszcze, jeszcze szybciej. A teraz z lekkim przysiadem i klaskaniem. To już było niebezpieczne. I wtedy wystąpił proboszcz. Nie słuchając moich ostrzeżeń wyszedł naprzeciw przywódcy buntu. Mówił ich językiem, a oni przycichli i od razu widać było, że go rozumieją, że się zgadzają. Nielicznych prowodyrów uciszono, a ksiądz już po angielsku powtórzył, że wszystkiego dopilnuje. Nie podobało mi się tylko, że przywódcy nie odeszli z ludźmi, ale gdzieś zniknęli w krzewach okalających misję. Nie przywiązywałem jednak do tego specjalnej wagi.

- Tylko ta broń niepotrzebna - mruknął proboszcz widząc, że ja i lekarz jesteśmy uzbrojeni.

W tym pacyfizmie widzieliśmy wtedy czarną niewdzięczność i ignorancję. Przyjechał jeszcze sąsiad z misji protestanckiej. Było już nad ranem i koguty piały. Zrobiło się chłodno. Świtało. Nastąpiła chwila ciszy, w której tylko wprawne ucho lekarza - myśliwego

odebrało podejrzaną dźwięki. Rzucił się ku drzwiom chwytając po drodze sztucer. Rozległ się strzał i potem wszystko było już takie nierealne. Widziałem tylko słaniającą się sylwetkę księdza, całego we krwi i napastnika rannego od kuli, z zakrwawioną maczetą w ręku.

Po jakiejś chwili zaprowadzono mnie do przyjaciela. Lekarz już zrobił swoje.

Życia uratować się nie da. On chciał jeszcze mnie zobaczyć. Leżał spokojnie. Otworzył oczy. Patrzył na mnie intensywnie. Nachyliłem się żeby wysłuchać szeptu. Zrozumiałem:

- Pamiętaj, musicie mu darować. On tu nie winien. Tak go nauczono. - A ty pomódl się za mnie. - Ostatni uśmiech, czy próba uśmiechu. - Żegnaj bracie.

Na tym powinno się skończyć, ale Father Washington i po śmierci dużo jeszcze dobrego zrobił w swojej parafii, a przynajmniej nam się tak potem zdawało. Ale to już inna historia.

WK nr 2/1991

* Dr Jerzy Brykczyński zmarł w 2012 r. w Choryni i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Komornikach pod Poznaniem.

Pedagog doskonały

Urodziła się 9 sierpnia 1902 r. w Gierłachowie, w powiecie kościańskim, z ojca Stanisława - nauczyciela i matki Stanisławy z domu Lipińskich, oboje wyznania rzymsko-katolickiego. Naukę szkolną pobierała w Gierłachowie, następnie w Wyższej Szkole dla Dziewcząt w Kościanie (Die höhere Mädchenschule). Przygotowanie do zawodu nauczycielskiego zdobyła w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Żeńskim w Poznaniu. Egzamin dojrzałości złożyła w dniu 17 czerwca 1922 r.

Kandydatka nauczycielska Halina Konopińska otrzymała pierwszą i tymczasową posadę nauczycielską w Powszechnej Szkole Katolickiej w Racocie, w powiecie kościańskim. Po miesiącu, z dniem 1 września 1922 r. została przeniesiona również na posadę tymczasową do czteroklasowej Powszechnej Szkoły Katolickiej w Kiełczewie, w której pracowała do 15 sierpnia 1934 r.

Egzamin praktyczny na nauczyciela stałego, mianowanego, publicznych szkół powszechnych złożyła w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Lesznie przed Państwową Komisją Egzaminacyjną z wynikiem pomyślnym w dniu 14 maja 1925 r. 1 stycznia 1926 r. otrzymała stałą posadę nauczycielską w szkole w Kiełczewie, która w latach 1927-1929 była jeszcze szkołą pięcioklasową (niżej zorganizowaną), a w latach trzydziestych szkołą sześcioklasową.

Z dniem 16 sierpnia 1934 r. Halina Konopińska została przeniesiona na własną prośbę na stanowisko nauczycielki Siedmioklasowej Szkoły Powszechnej III stopnia w Kościanie, której kierownikiem mianowanym była pani Zofia Danielecka.

W tej szkole pracowała do wybuchu drugiej wojny światowej. Dała się poznać jako bardzo sumienna nauczycielka o nieskazitelnej uczciwości, dobra wychowawczyni, ciesząca się sympatią dzieci i rodziców. Pracę nauczycielską traktowała z zamiłowaniem i poczuciem odpowiedzialności.

Wykazywała zainteresowanie w nauczaniu historii i geografii. W pracy oświatowej i społecznej udzielała się aktywnie w Towarzystwie Czytelni Ludowych (TCL), propagując czytelnictwo wśród młodzieży i dorosłych, kształtowała i rozwijała patriotyzm, świadomość i dumę narodową w środowisku kościańskim. Jako dojrzałą wówczas nauczycielkę cechowało ją duże poczucie godności stanu nauczycielskiego odziedziczone po ojcu. Udzielała się w Stowarzyszeniu Nauczycielskim w Kościanie, którego członkiem była od 1922 do 1939 roku.

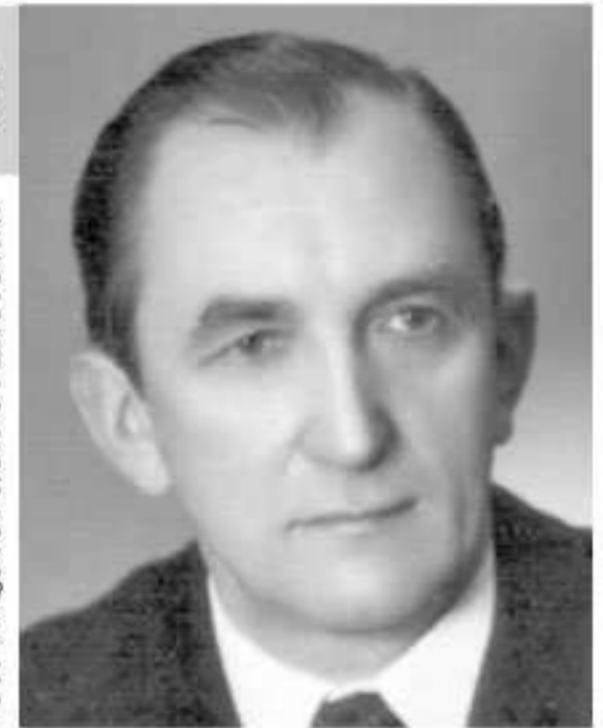
W czasie okupacji hitlerowskiej - do 17 maja 1940 r. - nie pracowała nigdzie. W



Helena Konopińska.

Fot. w zbiorach L. Chojnackiego

Leon Chojnacki*



Fot. w zbiorach J. Zielonki

tym dniu została zaarrestowana przez Gestapo i osadzona w Forcie VII w Poznaniu. 24 maja 1940 r. przewieziono ją do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, w którym przebywała do 9 kwietnia 1942 r. (23 miesiące). Po zwolnieniu z obozu skierowano ją do przymusowej pracy fizycznej w Neustrelitz (Mecklemburgia.). Oswobodzona została w dniu 30 kwietnia 1945 roku przez wojska radzieckie.

Z dokumentów służbowych nie wynika, co spowodowało aresztowanie Haliny Konopińskiej. Nie została zabrana z powodu działalności lub przynależności do organizacji politycznych wzgl. społecznych. Powód aresztowania wyjaśnia częściowo zapis w aktach śledztwa: politycznie podejrzana (politisch verdächtig). Halina Konopińska władała biegle językiem niemieckim i jako Polka, i nauczycielka ściągała na siebie uwagę władz okupacyjnych.

Do pracy w szkolnictwie powróciła w dniu 15 czerwca 1945 r. z nieukrywanym entuzjazmem, ale z nadwątlonym zdrowiem. W pracy zawodowej i społecznej okresu powojennego, Halina Konopińska, wyróżniała się sumiennością i obowiązkowością, uczestnictwem w różnych zajęciach o charakterze społecznym, np. opieka nad ZHP, udział w kursach bibliotekarskich, działalność społeczna jako członkini Związku

Nauczycielstwa Polskiego i Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Jako osoba samotna, wszystkie swoje siły i entuzjazm, koncentrowała na szkole i młodzieży. Pracowała z pełnym poświęceniem do czasu przejścia na emeryturę. Decyzję o dobrowolnym wystąpieniu ze służby nauczycielskiej podjęła z dniem 31 sierpnia 1962 r. Nie przerwała jednak całkowicie pracy w szkole, uczyła nadal w zmniejszonym wymiarze godzin do 31 maja 1971 r., to jest do czasu, kiedy o

sobie dała znać choroba. W niezwykle trudnym okresie była otaczana troskliwą opieką, pomocą i pamięcią przez koleżanki-nauczycielki, również osoby jej życiowe spoza zawodu nauczycielskiego.

Halina Konopińska była całe swoje życie związana z ziemią i społecznością kościańską. Na tej ziemi się urodziła, wyrosła, kształciła się i pracowała z pełnym oddaniem i poświęceniem dla społeczności Ziemi Kościańskiej przez pół wieku. Zmarła 13 września 1980 r.

Spoczywa na cmentarzu komunalnym w Kościanie.

Ps. W roku 1951 przez kilka miesięcy byłem kierownikiem Szkoły Nr 2 w Kościanie i współpracowałem z panią Haliną Konopińską.

WK nr 10/1991

* Dr Leon Chojnacki jest autorem licznych opracowań z dziedziny organizacji szkolnictwa i dziejów nauczycielstwa wielkopolskiego. Urodził się w Parzęczewie, mieszka w Kościanie.

Legenda Kościana

Do napisania niniejszego artykułu zdopingował mnie p. Adam Tomaszewski, pisarz emigracyjny, chluba naszego miasta. Zwrócił uwagę, że w tak dobrze redagowanych "WK" należałoby przypomnieć młodemu pokoleniu postać profesora Mieczysława Balcera, fenomena polskiego sportu i bożyszcze młodzieży. Był to przecież ulubieniec nie tylko Kościana, ale całej Polski - czołowy piłkarz, lekkoatleta, hokeista, koszykarz, narciarz, wielokrotny reprezentant Polski; wybitny pedagog i naukowiec.

*

Mieczysław Balcer urodził się 12 czerwca 1906 r. w Krakowie w rodzinie Magdaleny i Franciszka Balcerów. Już będąc uczniem gimnazjalnym dał się poznać jako doskonale zapowiadający się sportowiec. W 16 roku życia występował w tajemnicy przed dyrekcją pod pseudonimem Bazyli w „Cracovii”, a po roku w „Wiśle”. Po maturze w 1924 r. w Państwowym Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego, rozpoczął studia biologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesując się jednak szczególnie problematyką sportową, przeniósł się dwa lata później na studia do Poznania. Bowiem tylko tam w tym czasie istniała jedyna szkoła wyższa wychowania fizycznego (posiadająca prawa akademickie) - Studium Wychowania

Fizycznego przy Uniwersytecie Poznańskim. W 1929 r. uzyskał absolutorium i rozpoczął pracę jako lektor Studium WF, a także Państwowego Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego, w latach 1931-1932 pracował też w Państw. Gimnazjum im. Bergera. Potrafił umiejętnie łączyć studia i pracę ze sportem, wszak był wychowany w duchu pionierskiej działalności dr Henryka Jordana.

W 1932 r. uzyskał dyplom magisterski. Ponieważ jednak nie był członkiem ani BBWR, ani „Strzelca”, zaproponowano mu pracę na prowincji. Jako czołowy już sportowiec i reprezentant Polski, o którym rozpisywała się prawie co tydzień prasa krajowa - był zbulwersowany, ale nolens volens musiał się zgodzić. O tym fakcie sam tak pisze:

- Ja, po odnoszonych sukcesach sportowych w dużych miastach, muszę przenieść się na - mały land. Z początku nie mogłem się z tym pogodzić i przez pierwsze miesiące dojeżdżałem z Poznania do Kościana. Wszystkie jednak te zastrzeżenia minęły, kiedy w Kościanie przyjęto mnie z otwartymi ramionami, z dużym zadowoleniem i życzliwością przez dyr. Irzabka, grono nauczycielskie i młodzież. Odwdziczyłem się im wzajemną sympatią i pracą, którą z wielkim zapałem podjąłem ku wspólnemu zadowoleniu i uznaniu mej

Henryk Florkowski*

Fot. Bogdan Ludowicz



pionierskiej pracy... Wspólnie z młodzieżą zorganizowaliśmy pierwszy klub sportowy "Hellada". Wychowanie fizyczne i sport uzyskały nienowotowany dotychczas poziom. Praca moja w szkole i z młodzieżą dała mi duże zadowolenie...".

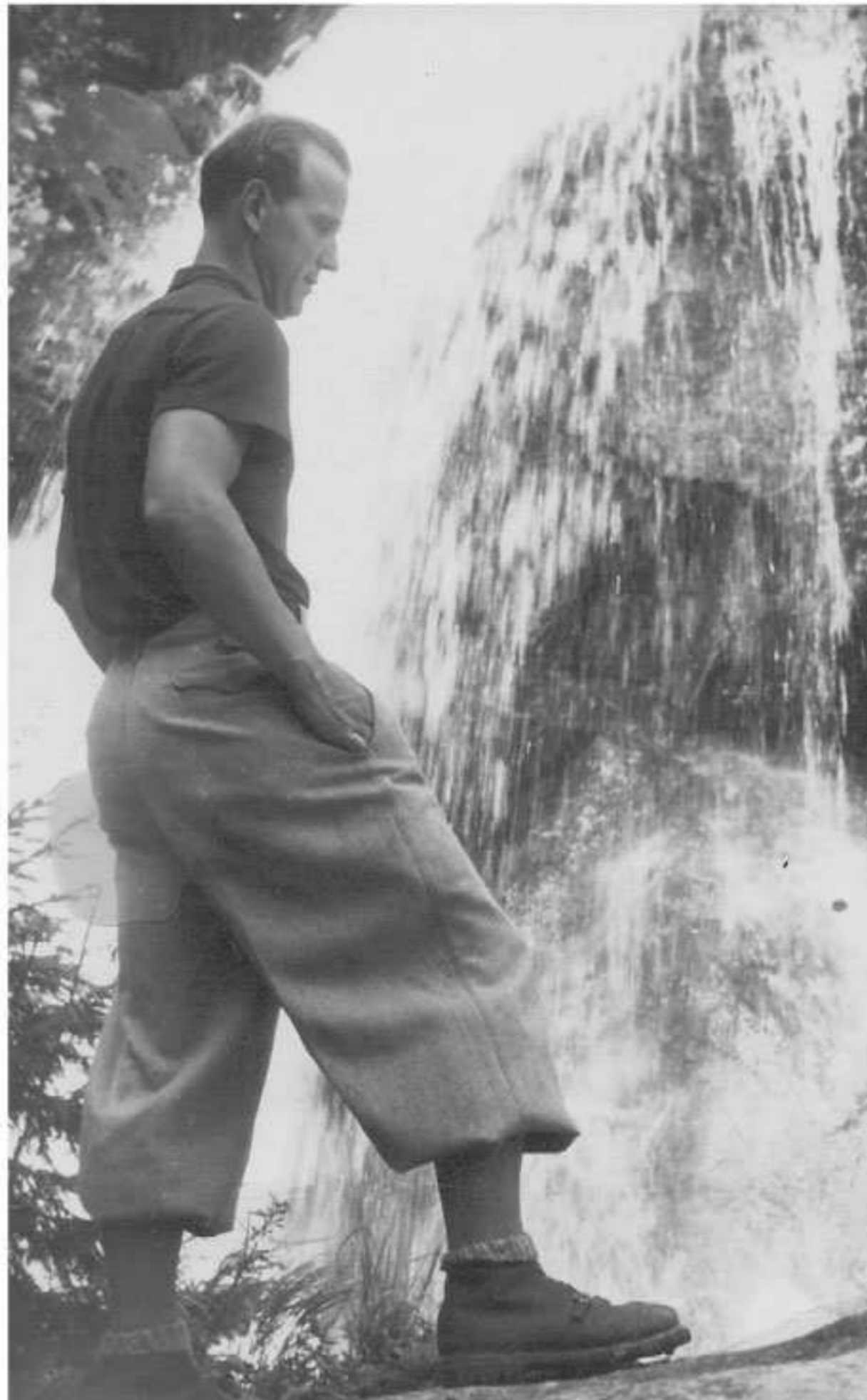
W tutejszym Państwowym Gimnazjum i Liceum prof. Balcer rozpoczął pracę w 1933 r. Towarzyszyła mu już wtedy sława doskonałego lewoskrzydłowego „Wisły” i reprezentacji Polski, mistrza kraju w dziesięcioboju, rekordzisty Polski w skoku w dal, czołowego koszykarza, siatkarza, wioślarza i hokeisty. Za jego czasów kościańska uczelnia przeżywała swój złoty okres rozwoju sportowego. Uczył jak siłą charakteru i woli można odnosić zwycięstwa nie tylko nad przeciwnikiem, ale i nad własną słabością, nad zmęczeniem. Dzięki jego niespożytej energii i nieoszczędzaniu swego czasu „Hellada” zaczęła osiągać niemałe sukcesy na terenie Wielkopolski w lekkoatletyce, koszykówce, siatkówce, sportach wodnych i zimowych, w tenisie stołowym, strzelaniu, w

marszach patrolowych.

Pracując w Kościanie dojeżdżał jeszcze do Poznania, gdzie był lektorem w Studium WF i nadal był wiernym graczem krakowskiej „Wisły”. W ten sposób znaczną część czasu pochłaniały mu podróże pociągiem. A były to czasy kiedy sport nie przynosił żadnych gratyfikacji i korzyści, poza własną satysfakcją i uznaniem. Prof. Balcer akcentuje, że „w życiu nie wziął nic ze sportu”. Za dojazdy i powroty ze spotkań „Wisły” otrzymywał tylko zwrot kosztów podróży oraz diety, plus... pisemne podziękowanie za to, że nadal startuje w barwach tego klubu. Wśród dzisiejszych entuzjastów sportu może to wywołać niezrozumiałe zdziwienie.

22 lipca 1939 r. Mieczysław Balcer zawarł związek małżeński z Moniką z Marciniaków, rodem z Bieżynia w pow. kościańskim. Świadcami na ślubie byli prof. Klemens Kruszewski i Józef Skąlecki. Matronka, magister wf, była córką byłego górnika i działacza polonijnego w Westfalii, który po odzyskaniu niepodległości był posłem do I Sejmu (do 1927 r.) z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji.

Lata okupacji Mieczysław Balcer spędził w Krakowie, zatrudniony jako magazynier w firmie budowlanej. W 1945 r. pierwszym kolejowym transportem wojskowym przybył do Poznania. Upoważniony przez delegata rządu prof. S. Różyckiego rozpoczął podnosić z gruzów i organizować przy Uniwersytecie Poznańskim Studium WF. W 1946 r. został adiunktem, zrezygnował wtedy z pracy nauczycielskiej w Gimnazjum Marii Magdaleny. W 1953 r. awansował na kierownika Zakładu Zespołowych Gier Sportowych. Rok później został zastępcą profesora. Na uczelni pracował do 1972 r.



Prof. Mieczysław Balcer.

Fot. w zbiorach J. Zielonki

Okres powojenny był również owocny w działalności zawodowej i społecznej. Wychował wielu instruktorów i trenerów sportowych. Był kierownikiem kursów szkoleniowych, różnorodnych rajdów i obozów wędrownych. Jego wszechstronność zdobyta w młodości przez kontakt z wieloma dyscyplinami sportowymi procentowała w pracy dydaktyczno-wychowawczej.

Za swą działalność uhonorowany został złotymi odznakami Krakowskiego, Poznańskiego, Koszalińskiego i Polskiego Związku Piłki Nożnej, Klubu „Wisła”, złotą odznaką PZLA, odznaką jubileuszową Polskiego Związku Narciarskiego, Związków Koszykówki, Siatkówki i Piłki Nożnej. Otrzymał tytuł „Zasłużony Działacz Kultury”, „Zasłużony

Nauczyciel PRL”, odznaczenia państwowe: Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski OOP.

W Kościanie prof. Balcer nawiązał wiele serdecznych i przyjacielskich stosunków z kolegami i wychowankami, które przetrwały przez lata. Dziś wspomina wielu z nich, m.in. mgr Zofię Schoen-Nowakową (chodzącą encyklopedię) z Krzywina, Szczęsnego Radomskiego, Seweryna Olka, Mieczysława Szafranka. Nie może zapomnieć delegacji kościańskich na uroczystości jego osiemdziesięciolecia w AWF w Poznaniu. Ciepło wspomina swój udział z małżonką na zjeździe absolwentów w naszym mieście w 1989 r.

Jako doskonały brydżysta przez długie lata po wojnie gościł regularnie w zaprzyjaźnionych domach w Kościanie, pasjonując się tą grą.

Całym swoim życiem dał przykład jak racjonalne uprawianie ćwiczeń fizycznych i higieniczny tryb życia pozwalają długo zachować osobistą sprawność i pogodę ducha. Dożywając sędziwego

wieku ten emerytowany nauczyciel gimnazjalny i akademicki cieszy się nadal niezwykłym szacunkiem. A dla Kościana stał się postacią wprost legendarną.

**WK nr specjalny
październik 1993**

* Dr med. Henryk Florkowski - współzałożyciel i długoletni prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, autor licznych opracowań z dziedziny historii medycyny i dziejów regionu – zmarł w 2003 r. w Kościanie i spoczął tamże na Nowym Cmentarzu Katolickim. Jego imię nosi kościańskie muzeum regionalne.

Prof. Mieczysław Balcer zmarł 13 marca 1995 roku i pochowany został na Cmentarzu Junikowskim w Poznaniu.

A więzienia zostaną...

Rafał
Frąckowiak*

Fot. Mirella Frąckowiak



Motto:

Nie można spokojnie
Spać dalej, kiedy już
Raz otworzyło się oczy
(Pierre Reverdy)

Mówili na niego Hitler. Po prostu. Jak strzelił w gębę, to oglądało się rozświecone gwiazdami niebo. Jak dał kopa, to było jeszcze gorzej. Taki silny. O tym, że go nie lubili zaświadczyć może córeczka. Dorwali ją kiedyś ci, co nigdy nie rozstają się z nożem. Nie miała szans. Na plecach wryli jej: „za tatusia”. Ponoć Hitler zaczął odtąd bić podwójnie mocno. Albo taki Słoneczko. Uszy a'la Urban i gorliwość wiecznie niedocenianego człowieczka. Od czasu do czasu włąził na wieżę, a wtedy słyszał było z dołu:

- Złap mnie Słoneczko, złap mnie Słoneczko, dlaczego mnie nie złapiesz, Słoneczko...

A Słoneczko się wkurzał.

Albo taki Babcia, albo takich paru innych. Długo by można opowiadać.

*

Miejsce akcji: więzienia i areszty śledcze PRL,

Czas akcji: lata 1985-1988

Osoby: przypadkowe, umundurowane i nie, wcześniej nie karane lub karane.

*

Był zimowy, mroźny dzień. Prowadził ciężarówkę z przyczepą. Ciężko się jechało - szyby marzły, samochód nie dawał się rozbijać, kilka ton cegły robiło swoje. Dojeżdżał do skrzyżowania, przyhamował, droga była wolna. Poczuli, że koła przyczepy podskoczyły, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Zmroźony śnieg, to wszystko. Po dziesięciu kilometrach zatrzymał go radiowóz.

- Czy pan wie, co pan zrobił? Zabił pan kobietę!

- Co takiego!?!?

Wrócili na skrzyżowanie. Wszędzie krew i mnóstwo gapiów. Kawałki mózgu... Zwłoki zostały już zabrane.

- Morderca! Morderca! - zdawały się mówić ludzkie spojrzenia.

- Ale przecież ja...

Prokurator zdecydował:

- Jest pan tymczasowo aresztowany.

Założono kajdanki, wrzucono do nyski. Wylądował w areszcie śledczym w L.

*

„Prawo i wymiar sprawiedliwości Polski Ludowej stoją na straży zdobyczy ludu pracującego. Jedną z podstawowych zasad naszego ustroju politycznego jest praworządność socjalistyczna (z encyklopedii „Polska współczesna”) 1981

*

- Pamiętaj skurwysynie kto tu rządzi - powiedział na „dzień dobry” strażnik, podtykając do powąchania potężną pięść.

Cela była wieloosobowa. Spali na piętrowych łóżkach i na ziemi. Dla niego zostało miejsce przy drzwiach, na sienniku. Przewiew jak diabli. Po pierwszym dniu nabawił się kataru, potem zmądrzał - spał z chustką na głowie, ale w łysinę wciąż było zimno.

Kilkanaście osób i zdemoralizowane małolaty. Co drugie słowo zaczynało się na „k”... Chcieli wprowadzić swoje prawa, a on człowiek stateczny, dzieciaty, któregoś dnia nie wytrzymał:

- Cholera jasna, będzie wreszcie tutaj spokój, czy nie!?

Zrobiła się cisza. a on mógł nareszcie się wyspać. Z chustką na głowie.

Sprawa się przeciągała. Akta krążyły, on siedział. Miesiąc za miesiącem, godzina za godziną, dzień za dniem. Rodzina wegetowała. Ustalono terminy rozpraw, potem

kolejne. Powoływano biegłych. Badali, czy znał ofiarę, czy nie zabił z zimną krwią, z wyrachowaniem... On siedział.

*

Jest zdenerwowany. Wciąż jeszcze jest zdenerwowany. Minęło parę lat, a on nie może dojść do siebie. Wciąż widzi kraty, słyszy szcęk kluczy, ręce drżą. - Nie uderzyłem w rower, na wozie nie było żadnych śladów - tak stwierdzili biegli. Wypadek. Mówili, że gdybym nie miał zamarzniętych zewnętrznych lusterek, to... Ale podgrzewane lusterka to produkują na Zachodzie, a nie u nas. A ona osunęła się na grudzie śniegu... Spotkałem się potem z rodziną tej pani, zrozumieli, że byłem bezsilny...

Wieloletni kierowca, duże doświadczenie, pochwały za wzorową pracę...

- Od tego czasu nie siadłem jeszcze za kółkiem. I już chyba nigdy nie siadę. Nie potrafię...

W areszcie dowiedział się, że jest niczym.

- Totalne niszczenie: psychiczne, fizyczne. Na każdym kroku dają ci do zrozumienia, że jesteś szmatą, że mogą cię nawet zagłodzić, a nikt się o tym nie dowie... Bo Minister Sprawiedliwości jest daleko.

Drży. Zmienia temat.

Dostał wyrok w zawieszeniu. W majestacie prawa jest już w porządku. Czas minął.

On zapala papierosa .

*

„Przepisy niniejszego kodeksu mają na celu takie ukształtowanie

postępowania karnego, aby: 1) sprawca przestępstwa został wykryty i pociągnięty do odpowiedzialności karnej, a osoba niewinna nie poniosła tej odpowiedzialności." (art. 2 § 1 „Kodeksu postępowania karnego”.)

*

Dziadek miał nogę w gipsie. Kłął na wszystko i na wszystkich. Siedział na pryczy, w areszcie w P., a wsadziła go żona. Bo bił i znęcał się, ale żona przebaczyła i wycofała skargę. Dziadka zwolniono. Wrócił po dwóch dniach. Okazało się, że jak wyszedł, to kupił od Cygana patelnię. Dobra była, solidna. Włazł do chaty i od progu krzyknął:

- Teraz ci stara pokażę!

A potem to już przyjechała milicja.

*

Chłop spod Leszna przyszedł do domu i cóż widzi? Żonę w niedwuznacznej sytuacji z jakimś nieznanym.

- No to złapałem kołka i lu fagasa w łeb. Biłem tak długo, aż zrobił się sztywny, a jucha bryzgała na lewo i prawo. Nie będzie mi żaden ch... żony dmuchał! Zabiłem, psa...

A tamten ma w kryminale poważanie. Nawet w gazetach o nim pisali. Dostał najwyższy wymiar. Jak wchodził na salę rozpraw, to wszystkie miejsca dla publiczności były zajęte, a tłum krzyczał:

- Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Sąd nie miał wątpliwości, że oskarżony zamordował z niskich pobudek. Wyrok zapadł.

Bodziu ma „majora”. Recydywa na poziomie. Lata w celach Wronek, Rawicza, parę niezłych wyroków, ostatni - „piętnastka”. Wie co robi, jak już wyjdzie:

- Zapierdolę sędzinę, dowiem się, gdzie p... mieszka i zapierdolę.

*

„Umiejętność rozgraniczanie dobra i zła jest tak samo ważna, jak umiejętność rozpoznawania ludzi

dobrych z natury i złych z przekonania”.

*

Miał rodzinę - żonę, dzieci. Miał, bo już nie ma. Wszystko się pokręciło, pogmatwało. I tylko dzieci chce widzieć, jej już nie. Po prostu go załatwiła.

Nie, nie pił. Nie miał nawet kiedy. Pracował na PKP. Ciągłe w ruchu, nocki, długie trasy. Dorabiał nadgodzinami, bo pensja była marna. Do domu wracał śmiertelnie zmęczony. Kiedyś mówi mu kolega z roboty:

- Zrób mi przysługę. Dostaniesz dwie opony do „malucha”.

Trudno było kupić, a samochód potrzebował remontu. Zgodził się. Zatrzymał lokomotywę gdzie trzeba...

Ktoś zameldował.

U kolegi znaleziono tony towarów, od kawy po lodówki, u niego znaleziono dwie opony do Fiata 126p...

Kajdanki, nakaz aresztowania, transport do K.

Rano w celi mieli śnieg na kocach. I ten ogłupiający regulamin. Zakazane to, zakazane tamto... Czekać na widzenie, na paczkę.

Przyszło wezwanie. Sprawa rozwodowa.

Dzień był wiosenny. Przyszedł klawisz. Szczęk kajdanek i na sprawę. Wrócił załamany. Myślał, myślał, i chciał... Pomogli mu:

- Ona ci życia nie dała...

Wytrzymał. Paczki nadchodziły, ale nie do niego. Ktoś dostał, podzielił się. Potem palili „popularne” i dodawali sobie otuchy. Miesiące mijały...

Pięć lat. Bo współudział, bo wiedział. Były kolega też dostał pięć. Jak wracali do celi, to podskakiwał i śmiał się w głos... Kolega, nie on.

*

„W Polsce ludzie nazbyt często tracą wolność. Zbyt długo przebywają w więzieniu ci, którzy po raz pierwszy popełnili przestępstwo”.

(miesięcznik „Reporter” - 4/89).

*

„Za dobre sprawowanie”. Jest taka formułka. Więc wyszedł. Udało się. Połowa kary.

Trudno jest rozmawiać o ośmiuset iluś dniach przebywania TAM. Blokada. Trudno przekazać sny, wątpliwości i strach. Tak, strach. Strach przed marzeniami, które nie mają szans, aby się spełnić.

Pracował. Nosił worki z cementem. Teraz nie może się za długo schylać. Kręgosłup nie wytrzymuje i zaczyna rwać. Jak bolący ząb.

- Powiedziałbym ci wiele, ale nie wiem, czy ktokolwiek z zewnątrz mógłby to zrozumieć... Czy nie szkoda czasu... Bo więzienia zostaną. Obojętnie kto by nie rządził... Co było wtedy najważniejsze? Aby widzieć drzewa i niebo, widzieć zieleń i błękit. By nie stał obok strażnik. By się nie znęcał...

*

„Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, jeżeli tylko osiągnie właściwy stopień uległości”.

(C. G. Jung)

*

Zastanawiałem się cały czas nad jednym: dlaczego tam, w kryminale, w areszcie, tak bezkarnie pozbawia się ludzi godności. Dlaczego jedni robią wszystko, by do więzienia wrócić, a inni już po pierwszym razie nie mają spokojnych nocy... Dlaczego... Ale to przecież nie ma sensu... Walka? Najtrudniej walczyć z samym sobą, z upiorami, które żyją i nie chcą wciaż zasnąć...

*

Babcia, Hitler i inni są ludźmi. Słoneczko także. Temida jest ślepa, a w oknach są stalowe pręty.

WK nr 4/1990

* Autor reportażu jest dziennikarzem „Panoramy Leszczyńskiej”. Rodowity kościaniak.

Epitafium dla Kisiela

Piotr
Gabryel*

Fot. Dorota Gabryel



Stefan Kisielewski nie żyje, a jednak ciągle wraca. I będzie wracał...

„Co nie jest zakazane musi być dozwolane. Największym zaś wrogiem normalności, do której zmierzamy, jest nadmiar reglamentacji prawnej, nadmiar kontroli, nadmiar nadmiaru” - napisał Stefan Kisielewski w jednym z ostatnich felietonów dla tygodnika „Wprost”. Minęła trzecia rocznica śmierci Kisiela, jednego z największych - m.in. zdaniem Jerzego Waldorffa - publicystów polskich XX wieku.

Stefan Kisielewski nie żyje, a jednak ciągle wraca.

Na Cmentarzu Powązkowskim, tuż po Jego pogrzebie podszedł do mnie szef „Iskier”. „Mam dla pana książkę od pana Kisielewskiego - powiedział. - Powinienem być dostarczyć ją dużo wcześniej, ale jakoś nie było okazji”. Podziękowałem, wziąłem i przeczytałem dedykację: „Panu Piotrowi Gabryelowi, z wdzięcznością. Kisiel. 17.IV.1991 r.”.

Rozmowy ze Stefanem Kisielem były wielką i fascynującą przygodą. Moją i w ogóle - całej formacji „Wprost”. Przyjaźń ze Stefanem Kisielewskim, ciekawość, jaką nas darzył oraz życzliwość, z jaką nas traktował - to przeżycie niezapomniane. Panował nad redakcją swym duchem. Kiedy zdarzyło się coś ważnego, wszyscy - zaintrygowani - pytali: co na to Kisiel? Kisiel: wielka mądrość i dobroć, ogromne doświadczenie i świeżość spojrzenia wielki dystans i przekora.

„Nie mam poglądów politycznych, mam tylko poglądy ekonomiczne” - zwykł mawiać, a myśmy się pod tym podpisywali. Chyba właśnie dlatego - mogę się domyślać - zeszyły się nasze drogi: droga Stefana Kisielewskiego i droga „Wprost”.

Czytaliśmy Go prawie od zawsze. Czytaliśmy i podziwialiśmy. Kiedy wczesną wiosną 1991 r. zwróciłem się do niego z pytaniem, czy zgodziłby

się pisywać felietony dla „Wprost” - odmówił. „Mam do napisania jeszcze tylko jedną książkę i parę artykułów. No i masę do skomponowania. To wszystko”. Przystał jednak na stały, cotygodniowy wywiad. Dlaczego przystał? Lubił w nas młodość; to, że chcemy odnieść sukces oraz szczerść, z jaką o tym mówimy. A także, że z sympatią pisujemy o tych, których pragnął w Polsce widzieć jak najwięcej: o polskich kapitalistach. Dostrzegł nasze pismo w połowie lat osiemdziesiątych, drukując jeszcze w „Tygodniku Powszechnym”, gdy opublikowaliśmy cykl reportaży o polskich multimilionerach. Potem, w jednym z zamieszczonych na łamach „TP” felietonów wziął w obronę - za nami - pewnego prywatnego producenta z Kostrzyna. Jeszcze później był pierwszy wywiad i kolejne spotkania. Czego w nas nie lubił? „Mówią mi, że jesteście świetnie robionym, ale postkomunistycznym pismem. Czy to prawda?” - żartował. „Prawda. Święta prawda” - odpowiadałem. Śmiał się.

Był człowiekiem suwerennym. Jak znajdował w sobie przez kilka dziesięcioleci siłę do walki z komunizmem, z totalitaryzmem, tak stać go było później na wspieranie gospodarczych inicjatyw Mieczysława Wilczka oraz Ireneusza Sekuły, na wspomaganie Wałęsy - wbrew poglądom sporej części intelektualistów - w czasie kampanii o fotel prezydenta RP.

Rozmawialiśmy przeważnie przez telefon, co tydzień, przez ponad rok - przez piętnaście miesięcy. Tematy rozmów wybierał z kilku, które proponowałem, albo miał gotowy własny. W czasie autoryzacji nie był drobiazgowy. Lubił spór, ostrą dyskusję, ścieranie się racji. Nie znosił nudy i nijakości. Kiedy spotykaliśmy się u Niego w domu, żona, pani Lidia, częstowała wspaniałą nalewką albo zimnym, dobrze schłodzonym piwem. Gdy wyjeżdżał, odnajdywałem go telefonicznie tam, gdzie był: w Paryżu, Konstancinie, Moskwie. I

mam wrażenie, a raczej nadzieję, że z czasem polubił moją natrętność.

Zawsze mówił i pisał to, co myślał. Kiedy doszedł do wniosku, że Wałęsa - jako prezydent - jednak się nie sprawdza - po prostu to ogłosił. Jak i to, że nigdy nie skorzystał ze stałej przepustki do Belwederu, którą otrzymał od prezydenta. Gdy zauważył, że papież powtarza stare prawdy, nie mając w zmieniającej się rzeczywistości - do zaoferowania niczego nowego - podzielił się swym spostrzeżeniem. I tym także, że księża powinni więcej wiedzieć na temat zapobiegania ciąży.

Sam uparty, konsekwentny, znajdował w sobie dość miłosierdzia, by zrozumieć słabość, małość, konformizm innych. Zrozumieć i wybaczyć. Podkreślał sprawczą rolę zła. „Cóż... Pan Bóg stworzył diabła. A jeśli nawet nie stworzył, to diabeł - strącony anioł, który się zbuntował - uzyskał prawo do istnienia oraz działania. Porządek świata jest zatem częściowo diabelski i nie można na to zamykać oczu...” („Wprost”, nr 16/91).

Kiedy zaproponowałem któregoś dnia, wczesną jesienią 1991 r., by przyznał na łamach „Wprost” nagrody najlepszym biznesmenom, ekonomistom i publicystom, poprosił o czas do namysłu. Wyróżnić - wyróżnił, ale - początkowo - nie przypadł mu do gustu pomysł publicznego wręczenia nagród. Dopiero w dwa-trzy tygodnie później sam wrócił do tej idei. I bardzo się do niej zapalił.

Przyjechał do Poznania w przeddzień uroczystości wręczenia „Nagród Kisiela”, zaproszony na spotkanie z młodzieżą z Liceum Ogólnokształcącego im. Karola

Marcinkowskiego. Przyjechał z Piotrem Kuncewiczem i Markiem Królem, redaktorem naczelnym „Wprost”. Mimo prawie godzinnego spóźnienia, nikt nie opuścił auli. Stefan Kisielewski wszedł i dostał niebawem brawa od kilkuset młodych ludzi - niczym gwiazdor rocka. Był wzruszony; wzruszony i zachwycony. A potem przez kilka kwadransów robił z młodzieżą, co chciał. Wszyscy reagowali entuzjastycznie - na odpowiedź na każde pytanie, na niezbyt udaną prośbę ad hoc zaimprovizowanego koncertu na rozstrojonym fortepianie.

Zamieszkał w apartamencie w hotelu „Poznań”. „Nagrody Kisielewskiego” były świętem laureatów, ale były też Jego świętem. Przybyli wyróżnieni, m.in. Jacek Maziarski, Mieczysław Wilczek, prof. Wacław Wilczyński, prof. Rafał Krawczyk i dziesiątki gości. Redakcja okazała się za ciasna; każdy chciał zamienić ze Stefanem Kisielewskim choć parę zdań, zdobyć autograf. Sam Stefan Kisielewski zapowiedział, że przewiduje jeszcze pięć edycji „Nagród Kisielewskiego”, bowiem zamierza żyć pięć lat...

Wieczorem, po obiedzie, w hotelowym pokoju spotkał się z Mieczysławem Wilczkiem. Obaj byli sobie bardzo ciekawi. I nie zamierzali poznawać się na trzeźwo. Na sam koniec, krótko po północy, Stefan Kisielewski pozwolił zawieźć się do swego apartamentu na pufie na kółkach.

Czego bał się najbardziej? „Boję się, że zmarnowałem życie. Z jednej strony moje akcje polityczne przyniosły pewien rezultat, z drugiej - wszystko to stałoby się również beze mnie. W swoich książkach opisywałem głównie komunistów i marksistów - to było, według mnie, najciekawsze dziwactwo naszych czasów. Cóż z tego jednak, skoro w tej chwili nikogo to już nie interesuje, zostało zapomniane (...) Boję się więc, że w czarną dziurę niepamięci wpadnie również moja twórczość, tamtych dziwacz-

nych czasów i ludzi dotycząca...” („Wprost”, nr 29/91).

Potem były urodziny w Konstancynie. Zaszły się w Domu Pracy Twórczej, by komponować. Chciał tego dnia być sam. Pozwolił się jednak odwiedzić i zaprosić na kolację. Urodzinowy wieczór spędziliśmy z Nim - Marek Król, Eugeniusz Jarosik i ja - w „Białej Dalii”, słuchając Jego niezliczonych anegdot i dowcipów. W kwietniu 1991 r. wyjechał do Szwajcarii i Francji. Dziennikarz „Wprost”, Piotr Gajdziński, odszukał Go tam i nagrał dyskusję Stefana Kisielewskiego z Jerzym Giedroyciem. Niedługo po powrocie Kisielewskiego do Polski zabrakło pani Lidii, żony. Podczas pogrzebu - jak i później - udawał, że daje sobie radę. Czy dawał?

Zachorował nagle i odszedł tak szybko, jak szybko, jak intensywnie żył - między jednym a drugim felietonem, w pół zdania. Człowiek renesansu. Kompozytor, pisarz, publicysta, krytyk muzyczny. Prawie do końca pozostawał w pełni aktywny, więc: pozostał sobą. Nie dał się przekonać do butelki „Burlecitinu”, którą chcieliśmy mu wręczyć z Markiem Królem, gdy już leżał w szpitalu. Chłonał za to informacje ze świata, wyciągając od nas wszystko, co wiedzieliśmy. Wytypował też trzy osoby do „Nagród Kisielewskiego” za rok 1991: Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jerzego Grohmana i Bogusława Bagsika. Postąpił jak zwykle po swojemu - nie poddając się ani temu, co wypada, ani temu, czego nie

wypada.

Byłem u Stefana Kisielewskiego z Markiem Królem i synem Kisielewskiego - Jerzym Kisielewskim na kilka godzin przed śmiercią. Wyglądał lepiej niż tydzień wcześniej. „Może usiądziemy na korytarzu” - zaproponowaliśmy. „Nie, jestem zbyt słaby” - przyznał. Niedługo potem prosił, żeby przykryć go kocem, potem drugim. W chwilę później wniesiono obiad. „Zjem tylko zupę” - zdecydował. Mimo to próbowałem podsunąć Mu talerz z drugim daniem. „Przecież wyraźnie powiedziałem, że zjem tylko zupę” - spojrzał na mnie groźnie. Po paru minutach trzeba było wezwać lekarza. Ale nic nie zapowiadało końca.

Wiadomość o śmierci Stefana Kisielewskiego usłyszałem z radia, gdy wracałem z Warszawy do Poznania. Była jak grom z jasnego nieba. Zatrzymałem się, żeby zadzwonić do drukarni i przedyktować tekst pożegnania. Okazało się, że wcześniej nadano go z redakcji.

Stefan Kisielewski nie żyje, a jednak ciągle wraca. I będzie wracał.

P.S. Tekst ten jest wstępem do książki pt. „Testament Kisielewskiego. Ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Piotr Gabryel”, która ukazała się nakładem Agencji Wydawniczo-Reklamowej „Wprost”.

WK nr 11/1994

* Autor tekstu jest obecnie zastępcą redaktora naczelnego pisma „Do Rzeczy” w Warszawie. Jeden z najbardziej utalentowanych dziennikarzy polskich. Nie bał się pisać prawdy za czasów represyjnej cenzury. Urodzony w Nidzicy, wychowany w Kościanie, wykształcony w Poznaniu. Pisał o Katyniu, kiedy inni jeszcze się bali. Przyjaciół nie zostawia w biedzie, stąd częste zmiany redakcji. Jego koncepcje przyjmują za swoje gazety i pisma, w których pracował i zapewne sposób kontynuowania Nagrody Kisielewskiego, którą wymyślił, nie jest od dawna po jego myśli. Ale ma jedną przewagę nad tak zwanymi uzurpatorami - on tam był, on Stefana Kisielewskiego znał jak mało kto i kiedy Kisielewski prawie wszyscy już opuścili - przy nim trwał nie tylko jak dziennikarz, ale normalnie - jak człowiek. (J.Z)

Moi ch. Czytelników
z miasta Kościana (g-
dnie mi nie powiedz w Zaha-
dnie zamieszkał) pozostawiam
Czytelnik „Wiadomości” Kisiel.

Dedykacja Stefana Kisielewskiego
dla czytelników „Wiadomości Kościańskich”

To nie jest kwestia wspomnień

Faktu śmierci Tadeusza Sekuły nie przyjmuję do wiadomości. Po prostu nie mogę pozwolić sobie na rozchwianie rzeczywistości, a Tadeusz Sekuła w mojej rzeczywistości jest niezmiennie nadal. Do wiadomości przyjmuję jedynie konieczność innego porozumiewania się z Tadeuszem Sekułą. Na innych częstotliwościach wrażliwości.

Bo to jest i kwestia temperamentu. Jak się okazało - nie nadażalem. Osobowość poetycka emanowała tak intensywnie, że obejmowała obszary znacznie wykraczające poza literaturę. Zaistniało zjawisko wydłużające drogę komunikacji, pomiędzy nadawcą sygnału Tadeuszem Sekułą a odbiorcą - mną, narastało do rozmiarów lat świetlnych. Dlatego sygnały od Tadeusza Sekuły jeszcze długo będą do mnie dochodziły i nawet nie interesuje mnie, czy będzie się to Jemu podobało, ja po prostu będę na sygnały odpowiadał, bo odpowiadać muszę.

Przeciwko śmierci Tadeusza Sekuły wyrażam swój zdecydowany protest. Brzmi to oczywiście kretynsko, czego jestem świadomy, i absolutnie kłóci się z Jego charakterem i stylem myślenia: Tadeusz Sekuła nie zwykł dyskutować z faktami. Ale to mnie też nie obchodzi, gdyż uważam, że istnieją fakty, które są złe i te zasługują na odrzuceniu. Nie może być tak, żeby zabrakło poezji, często emocjonalnej, pulsującej gwałtownie zachwytem albo niesmakiem. Nie może być tak, żeby zabrakło impulsywnego reagowania na dziejącą się rzeczywistość i to z operowaniem konkretnymi oceanami: „dobry – zły”,

„piękny - brzydki”, „prawdziwy – fałszywy”. Czyż ta łatwość ferowania ocen mogłaby nie doprowadzić do białej gorączki, mnie – zazdrośnika?!

Wśród sygnałów, które będę otrzymywał od Tadeusza Sekuły, niejeden będzie jeszcze dotyczył Jego osobistych odkryć. Niestety, ogarnięcie wszystkich dziedzin na razie jest dla mnie niemożliwe. Przede wszystkim spodziewam się zaistnienia poetycznych powiewów świeżości, wywołanych zachętą upartego promotora i inspiratora. To akurat Tadeuszowi Sekule w ogromnym stopniu zawdzięczam - rozpoznanie znaczenia dobrego słowa. Skądinąd mam podejrzenia, że Jemu samemu darowanie komuś dobrego słowa sprawiało ogromną radość. Myślę tu

Tadeusz Hofmański*

Fot. ze zbiorów rodzinnych autora



o faktach należących do przeszłości. Poetyckie spotkania w Kościanie czy Lesznie, czy gdziekolwiek, w których obecność Tadeusza Sekuły zawsze była obecnością niezmiernie ważną - to tylko przykład takich faktów.

A sygnały związane z podróżami, zawsze przez Tadeusza Sekułę odbywanymi po swojemu, niezależnie od formy eskapady? A sygnały związane z poszukiwaniem więzów łączących Polaka i Argentyńczyka, kościaniaka i nowojorczyka? Cóż, z intuicją badacza pochodzącego z cywilizacji niższej wyczuwam, że po pewnej liczbie lat świetlnych znajdę pewne prawidłowości.

Tak czy inaczej oświadczam: że w mojej rzeczywistości nie zaszły żadne zmiany - Tadeusz Sekuła tutaj trwa nadal i pod tym względem przeobrażenia znajdują wyłącznie wraz z końcem tej rzeczywistości.

WK nr 7-8/1996

* Autor tekstu jest poetą, absolwentem polonistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, rodowity kościaniak. Mieszka w Lipnie pod Leszmem. Jego przyjaciel - Tadeusz Sekuła, wrażliwy człowiek, poeta, autor licznych wierszy, zmarł w Kościanie i pochowany został tamże na Nowym Cmentarzu Katolickim.



Okładka jednego z tomików poezji Tadeusza Sekuły

Gniazdo Bukowieckich

Tadeusz
Jąder*

Fot. ze zbiorów
autora tekstu



Cichowo - to niewielka wieś w gminie Krzywiń, malowniczo położona nad jeziorem o tej samej nazwie, ulubione miejsce wypoczynku nad wodą wśród ludzi, którzy najwyżej cenią sobie spokój i piękną przyrodę. Położone wśród falistych Pagórków Dolskich, swym urokiem i widokami urzeka przybywających tu turystów i wędkarzy. Chyba więc nie bez powodu tu właśnie założyli przed wiekami swą letnią rezydencję lubińscy benedyktyni. Miejsce klimatyczno--krajobrazowe walory są rzeczywiście niepowtarzalne.

Najstarszą historyczną wzmiankę dotyczącą wsi napotkać możemy w „Kodeksie Dyplomatycznym Wielkopolski”, zawierającym dokumenty opactwa benedyktynów z Lubinia z XII-XV wieku. W jednym z zamieszczonych tam dokumentów (prawdopodobnie fałszywie datowanym na 26 grudnia 1181 roku) spotykamy spis wyliczający posiadłości klasztoru, a w nim również Cichowo.

Pierwszym znanym posiadaczem Cichowa był rycerz Józef z rodu Awdańców. Stanisław Kozierowski, znany historyk z początków naszego wieku, w pracy „Fundacje klasztorne rodów rycerskich Zachodniej Wielkopolski w dobie piastowskiej” nazywa go Józefem Dobiesławiczem. Ród Awdańców miał wówczas wielkie znaczenie w państwie, a terytorium przez nich zajmowane też było nie byle jakie, rozciągając się pomiędzy Dolskiem, Gostyniem, Świerczyną i Krzywiniem. W 1237 roku rycerz Józef dokonał darowizny Cichowa na rzecz opactwa, o czym przeczytać możemy w interpolowanej wzmiance zawartej w klasztornych dokumentach. Obejmujące 56 miejscowości włości lubińskiego klasztoru zostały oficjalnie zatwierdzone przez księcia Bolesława Pobożnego w 1258 roku.

Jednak niemal pewne jest, że historia Cichowa nie rozpoczyna się dopiero w początkach wieków średnich, ale datuje się wcześniej. Osada musiała istnieć już na długo przedtem zanim dotarł tu rycerz Józef i lubińscy benedyktyni. Świadczą o tym nieodparcie archeologiczne badania

prorowadzone przed wojną na terenie Cichowa przez profesora Józefa Kostrzewskiego. Znalaziono wtedy sporo urn grzebalnych i szczątków glinianych naczyń z epoki biskupińskiej, co jednoznacznie wskazuje na zamieszkiwanie tych okolic przez prasłowian.

Źródłostów nazwy miejscowości nie jest zupełnie jasny. Wieś wymieniana jest w różnych dokumentach źródłowych jako: „Cychou”, „Cychou”, „Czychowo” lub „Czychowo”. Nazwa może mieć pochodzenie dzierżawcze, od imienia Cichosz lub Cichomysł, albo też co może i jest bardziej prawdopodobne - fizjograficzne, od znajdującego się nieopodal jeziora, które figuruje pod nazwami: „lacus Czychowo”, czy też „Cichowskie Yeszoro”.

Protectorat zakonników z Lubinia skończył się dopiero wraz z najazdem Szwedów na Polskę. Cichowo i inne dobra z majątku opactwa rozpadły się, przechodząc w ręce prywatne. Kto przejął wtedy Cichowo i co się tam działo - tego nie wiemy. Materiały źródłowe na ten temat milczą. Prawdopodobnie funkcjonował tu niewielki ośrodek dworski bez specjalnych aspiracji. Warto chyba jednak wspomnieć, że gdzieś w połowie XVIII wieku, ktoś najwyraźniej z jakąś myślą przewodnią obsadził kasztanową aleję, posadzono też i inne drzewa, głównie dęby, lipy i orzechy włoskie. Dziś spotkać tu można wyłącznie pojedyncze ślady ówczesnego drzewostanu. Prawdziwym okazem jest zwłaszcza egzemplarz lipy drobnolistnej, której wiek fachowcy oceniają na około 400 lat. Lipa ma imponujący obwód pnia - około 6 m, a olbrzymie, wyrastające z pnia konary sięgające 30 m wysokości, liczą sobie w obwodzie - po 3 m każdy. „Benedyktyńska” lipa z Cichowa została wpisana do rejestru zabytków przyrody pod numerem 190.

O istnieniu Cichowa po długim okresie milczenia przypomina dopiero „Kronika parafialna lubińska” prowadzona przez K. B. Kiełczewskiego. Otóż za pośrednictwem tej pozycji dowiadujemy się, że po 44 latach przynależności Cichowa do dóbr państwowych,

otrzymało je w 1839 roku siedmioro rodzeństwa Albrecht. Kolejnymi właścicielami majątku byli:

- Konstanty Maksymilian Rudolf Albrecht (1844)
- Stanisław Zakrzewski (kupił za 27.000 talarów w 1845)
- Xawery Zakrzewski (1861)
- Wilhelm Lossow z Leśniewa i Stanisław Zakrzewski z pow. śremskiego (1876)
- Lucyan Szulczewski (1883)
- Maksymilian Markiewicz (1896)

W międzyczasie majątek musiał być nieźle zadłużony, bowiem np. w 1848 r. wśród właścicieli można też napotkać pruski urząd podatkowy...

Ponowny rozkwit posiadłości łączy się z przejęciem jej przez rodzinę Bukowieckich. Kupił ją w 1898 r. od Markiewiczów Mieczysław Bukowiecki, późniejszy generał wojsk polskich. Na zakup Cichowa pozwolił mu niespodziewanie uzyskany spadek po wybitnym dyplomacie tureckim - Sefer Paszy. Jak się okazuje ów dyplomata faktycznie nazywał się Kościelski i był odległym krewnym Bukowieckich.

Syn Mieczysława, znany publicysta i krytyk filmowy - Leon Bukowiecki, przytacza następującą anegdotę:

„Mieczysław dowiedziawszy się, że jest na sprzedaż Rumianek nieźle w bliskim sąsiedztwie Gostynia leżący majątek i byłby go kupić gdyby nie jego siostra Jadwiga, która oświadczyła, że za żadne skarby nie zamieszka w miejscowości o tak komicznej nazwie. Zrezygnowany Mieczysław zasiadł do obiadu w słynnej restauracji Jezierskiego w Gostyniu i posłyszał, że przy sąsiednim stoliku wymienia się nazwę majątku, który znowu bankrutuje i jest na sprzedaż za psi grosz. Tknięty intuicją spytał o adres majątku i jeszcze tegoż dnia końmi

wynajętymi w Gostyniu stanął w Cichowie.”

Wywodząca się ze szlacheckich korzeni rodzina Bukowieckich zawsze była znana z kultywowania własnych tradycji i głębokiego patriotyzmu. Wielu przedstawicieli rodu pełniło bardzo zaszczytne stanowiska, jak np. Lew Bukowiecki, który był posłem koronnym Stefana Batorego do Iwana Groźnego, czy też dziad Mieczysława, adiutant marszałka Davout - August Bukowiecki, który biorąc udział w napoleońskiej wyprawie na Moskwę, stracił w bitwie pod Berezyną cztery palce.

Mieczysław był nie tylko świetnym oficerem (a przyjaźnił się m.in. z generałem Sikorskim), ale też i znakomitym gospodarzem. To jemu właśnie cichowski majątek zawdzięcza pełen rozkwit. Za jego czasów doprowadzono do dworu, a nawet i oficyn, wodę, kanalizację i oświetlenie gazowe, wymurowano podwórze, uporządkowano park i posadzono sławny ongiś cięty szpaler. Największą zaś jego zasługą było dokonanie gruntownej przebudowy dworku, dzięki czemu zyskał on niepowtarzalny, niezwykle rzadko w Polsce spotykany charakter. Mianowicie

dobudowanie bocznych skrzydeł pozwoliło na powstanie oryginalnego wewnętrznego dziedzińca, prawdziwego ewenementu w obiektach architektonicznych tej wielkości.

Natomiast szczególną uwagę gości zapraszanych do posiadłości skupiał zazwyczaj hall-zbrojownia, swoiste rodzinne muzeum ze zbiorem wartościowych obrazów i niezwykle cennych pamiątek. Godzi się wspomnieć, że cały zbiór ubezpieczono na niebagatelną sumę miliona przedwojennych złotych.

Mieczysław Bukowiecki zmarł w 1931 r. Po nim, do czasu okupacji władanie majątkiem przejęła żona - Aleksandra Bukowiecka. Zmarła 12 kwietnia 1940 roku. Została zamęczona przez hitlerowców, w wyjątkowo złej sławy poznańskim Forcie VII.

Do czasu II wojny światowej miejscowość nazywała się Cichów, krótko po wkroczeniu Niemców nazwano ją, ale tylko dosłownie na kilka dni - Walddorf. Podczas okupacji swe niemieckie miano Cichowo zmieniało jeszcze dwa razy. Do połowy 1940 roku oficjalną nazwą był Waldhof, a później, do końca wojny - Schönblick. Tę ostatnią - nadano na życzenie okupacyjnych

właścicieli Cichowa, rodziny Hahnów - baltendeutschów z Rygi.

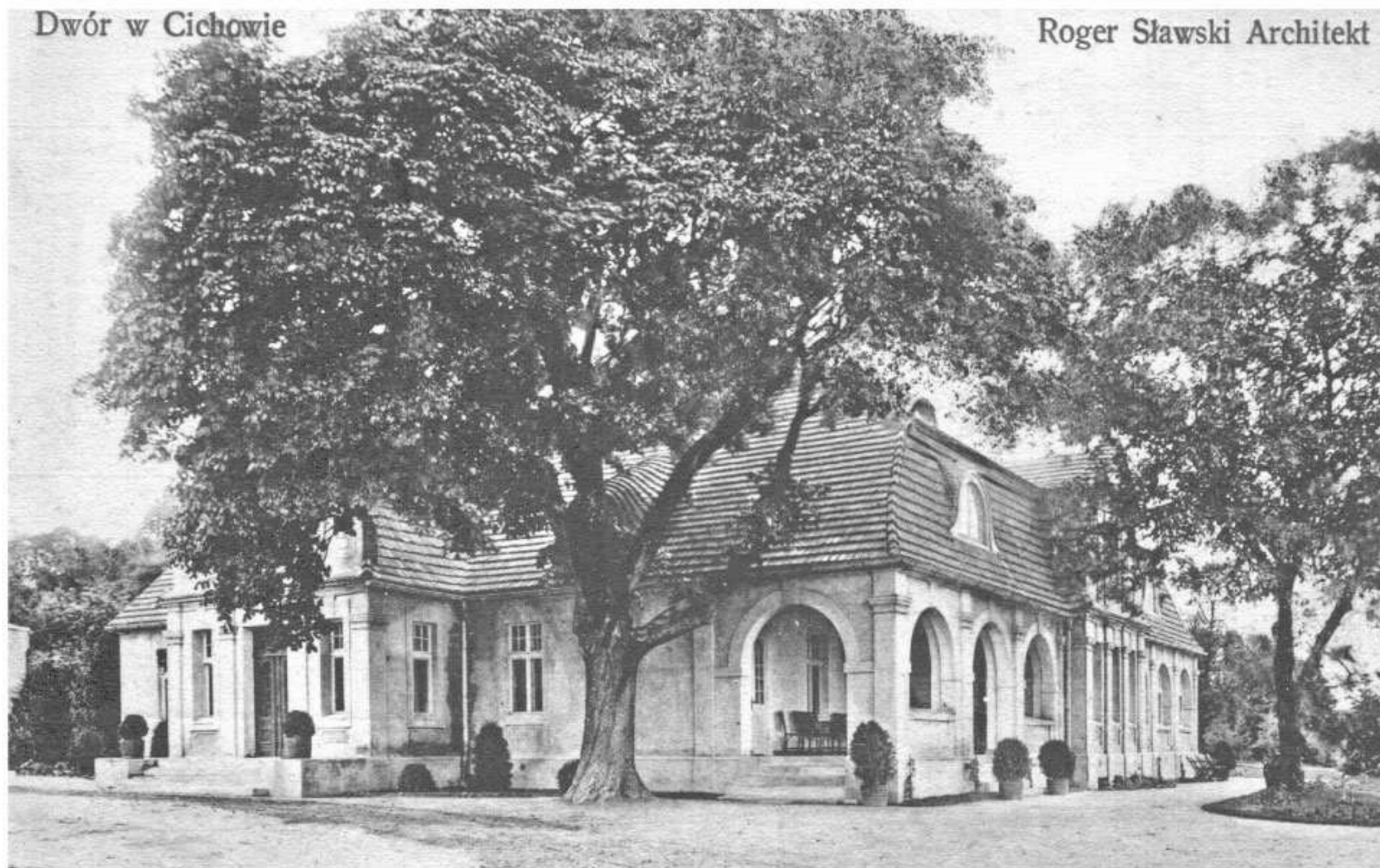
Po zakończeniu wojny próbowano początkowo przekształcić cichowski majątek w gospodarstwo rolne. Później, dzięki staraniom nieodżałowanej pamięci dyrektora kościańskiej placówki leczniczej dla psychicznie i nerwowo chorych - dra Oskara Bielawskiego powstała tu filia dziecięca sanatorium. Ów oddział nerwic dziecięcych istniał i pełnił swe pożyteczne funkcje do lat osiemdziesiątych.

Dziś, gdy dotrzemy do Cichowa możemy oglądać jedynie marne szczątki niegdysiejszej świetności. Dworek pochylił się już mocno ku upadkowi i tylko patrzeć jak pozostanie tu sama ruina. Po prostu żal serce ścisnąć.

A może remont ruszy wreszcie z miejsca i piękny ten obiekt zostanie ponownie przywrócony do życia? Bo cichowski dworek to nie tylko wartość sentymalna ... Dalszy ciąg dopisze historia.

WK nr 4/1993

** Autor jest dziennikarzem. Urodził się w Kościanie, mieszka w Lesznie.*



Dwór w Cichowie

Roger Sławski Architekt

Istoty duże i małe Kasztanowce

Kasztanowiec biały (k. zwyczajny) - (*Aesculus hippocastanum*), należy do rodziny - kasztanowcowate. Kasztanowiec - zwany popularnie (błędnie) „kasztanem” – wbrew wszelkim pozorom jest gatunkiem obcego pochodzenia. Ojczyzną jego są południowe Bałkany (Góry Tessali i Epiru) oraz Azja Mniejsza, gdzie rośnie w lasach liściastych na wysokości 1000-1250 m. n.p.m. Do Europy środkowej dostał się na początku drugiej połowy XVI wieku, najpierw do Wiednia w 1576 roku. W Polsce występuje już w XVII wieku i jest jednym z pierwszych drzew obcego pochodzenia, które dotarły do naszego kraju.

Kasztanowce należą do drzew osiągających wysokość 20-30 m. o koronie najczęściej kopulastej, niekiedy kulistej, dającej tzw. „duży cień”, ze względu na obfite ulistnienie. Pień posiada prosty, nieco skręcony spiralnie, pokryty korą koloru brązowocynamonowego, spękaną lub łuszczącą się nieregularnie; jego szyja korzeniowa jest silnie rozwinięta, często z nabrzmiałymi wypukłościami w formie narośli. Liście kasztanowca są duże, dłoniaste, barwy ciemnozielonej, od spodu jaśniejsze, jesienią o zabarwieniu żółtopomarańczowym i jasnobrażowym, efektownie wyglądają wczesną wiosną, w chwili pęknięcia pączków i rozwijania się. Kwiaty barwy białej, różowo cętkowane, zebrane w okazałe groniaste kwiatostany, zwrócone wierzchołkami, ku górze, łudząco przypominające miniaturowe „choinki bożonarodzeniowe”. Rozwijają się w pierwszej połowie maja i dają silny efekt barwny na tle ciemnozielonego ulistnienia. Kwitnienie kasztanowców dla licealistów końcowych klas, to gorący okres egzaminów dojrzałości, a dla pozostałej młodzieży szkolnej, ostatni sygnał do rzetelnych powtórek i likwidacji ewentualnych zaległości, przed zbliżającym się końcem roku szkolnego.

Owoce kasztanowca jest kulista torebka około 6 cm średnicy, zawierająca 1 lub 2 duże, łuszczące nasienia koloru brązowego, popularnie zwane „kasztana-

mi”, ulubiony rekwizyt dziecięcych zabaw tak w domu, jak i w przedszkolu, a nawet jako wypróbowana pomoc naukowa w początkowym nauczaniu matematyki.

W opinii dendrologów, kasztanowiec jest drzewem wymagającym dużo światła, odpowiedniej jakości gleby i wilgotności. Jako drzewo pochodzące z gór lubi gleby kamieniste i zasobne w wapno.

W młodości rośnie szybko, później nieco słabiej, wykształca płaski, lecz silny system korzeniowy. Owocować zaczyna w wieku 10-15 lat, a żyje około 200 lat. Drewno posiada trudno łupliwe o białozółtym bieli, pomarańczowoczerwonej twardzieli, lekkie - właściwościami technicznymi przypominające drewno topoli i lipy.

W rejestrze roślin zielarskich - kasztanowiec biały zajmuje poczesne miejsce i jest zaliczany jednocześnie do roślin trujących, leczniczych i nektarodajnych. Szczególnie dużo, różnorodnych składników i związków chemicznych zawiera jego kora, a także kwiaty i owoce, które posiadają silne właściwości uszczelniające naczyń krwionośnych. Wyciągi z kory, owoców i kwiatów kasztanowca stosowane są jako środek przeciwkrwotoczny w leczeniu hemoroidów i ściągające. Nasiona kasztanowca zawierają dużo krochmalu (klej- mączka kasztanowa), są wykorzystywane w przemyśle farmaceutycznym i stanowią pokarm dla zwierząt.

Kasztanowiec biały tak bardzo się u nas „zadomowił”, że na terenie Ziemi Kościańskiej trudno znaleźć miejscowość,



Kasztanowce nad Obrą w Kościanie. Fot. T. Mastowska

Antoni
Każmierczak*

Fot. w zbiorach J. Zielonki



gdzie by nie rosły kasztanowce, i to bardzo często - osobniki stare, rozrosłe i efektownie prezentujące się w naszym krajobrazie, w postaci krótkich alejek parkowych albo pojedynczo, wznoszących się, na przypałacowych polanach i trawnikach, gdzie jako drzewa światłolubne dorastają imponujących rozmiarów - jak, np. w parkach (Cichowo, Kopaszewo, Turew, Czerwonawieś, Racot, Popowo Stare, Bucz i wielu innych miejscowościach). Natomiast zdecydowanie mniej, starych i zdrowych, kasztanowców spotyka się w naszych miastach, a to ze względu na ich małą odporność, na zanieczyszczenia atmosferyczne, jak również na wyższe temperatury i suche powietrze.

Z naszych pomnikowych kasztanowców w terenie postaram się krótko scharakteryzować ich dwa okazy. Przed stylowym dworkiem pochodzącym z I połowy XVIII wieku (zabytek architektoniczny klasy II) w Przysiece Starej zwraca na siebie uwagę olbrzymi kasztanowiec, zrosnięty z siedmiu drzew do wysokości 0,8 m - wspólny pień tego drzewa mierzy w obwodzie 6,60 m., a jego 6 grubych konarów od 2,80 - 3,00 m. (jeden konar został zniszczony przez burzę) - tworzą bardzo kształtną, kopulastą koronę średnicy przekraczającej 18 metrów.

Na cmentarzu klasztornym OO. Benedyktynów w Lubiniu naprzeciw głównego wejścia do kościoła (zabytek sakralny klasy I) wznosi się wspaniały okaz kasztanowca białego o obw. pnia 4,90 m. i pięknej, kopulastej koronie, o średnicy około 25 m. W roku 1947, podczas silnej wichury został odłamany jeden potężny konar, który wraz z bocznymi gałęziami stanowił prawie 1/3 wspaniałej

korony. Pomimo tego poważnego ubytku kasztanowiec lubiński w dalszym ciągu jest okazem godnym podziwu. Dzięki staraniom członków TMZK został on zarejestrowany pod nr 191 jako pomnik przyrody.

Na naszym terenie - wprawdzie nie często - można spotkać kasztanowca czerwonego (*Aesculus carnea*), który jest mieszańcem kasztanowca białego z kasztanowcem krwistym. Bardzo efektowny okaz tego gatunku kasztanowca rósł przed frontem gmachu Urzędu Miasta w Kościanie, lecz został zniszczony podczas szalejącego huraganu w dniu 23.07.1987 r.

WK nr 5/1991

Pełnik europejski – roślina chroniona

Pochodzenie pełnika w Europie nie jest dokładnie ustalone. Przyjmuje się, że przywędrował na nasze tereny w epoce lodowcowej i dlatego ze względu na swój charakter reliktowy został objęty całkowitą ochroną gatunkową roślin.



Pełnik europejski.
Źródło: Wikipedia

Inni natomiast badacze udowadniają, że pełnik jest rośliną, „której obecność na terenie Europy sięga późnego trzeciorzędu”. Pełnik europejski (*Trollius europaeus*) jest rośliną wieloletnią wysokości 30-90cm, należącą do rodziny jaskrowatych. Z kłącza zimującego niezbyt głęboko w ziemi, wyrasta pojedyncza, wzniesiona łodyga, zwykle jednokwiatowa. Liście pełnika wykazują pewne zróżnicowanie w swej budowie; są 5-cio dzielne, o odcinkach rozciętych na 3 łaty i ząbkowanych, długoogonkowe 5-7 dłoniastodzielne, wyrastające z kłącza, a zwykle siedzące 3-4 dzielne - z łodygi.

Kwiaty tej rośliny duże, kuliste, koloru cytrynowego lub złocisto-żółtego budzą zawsze zrozumiały podziw. Kwitnie w maju lub czerwcu. Kwiat pełnika osiąga średnicę do 4 cm i złożony jest z 8-12 płatków, zaginających się ku środkowi, tworząc jakby kulę, chroniącą pręciki przed deszczem, a jednocześnie zmuszając przeciskające się owady do ocierania się o znamiona słupków. W

okresie dłuższej niepogody dochodzi do samozapylenia. Owocem jest mieszek twardy, skórzasty, zawierający nasiona koloru czarnego, które zanim skiełkują leżą w ziemi rok, a niekiedy i więcej.

Pełnik europejski zawiera między innymi glikozyd ranunculinę, który powoduje zaczerwienienie skóry i działa toksycznie na bydło i owce, ale tylko jako świeże ziele. Po wysuszeniu rośliny, substancje trujące ulegają rozpadowi. Podobno zwierzęta podczas wypasu instynktownie omijają pełnik.

W okolicach Kłodzka, gdzie pełnik występuje w dużych ilościach, ludność tamtejsza nazywa go „rózą kłodzką”, zaś górale „rózą górską” albo „górką lelują”. Natomiast w gwarze ludowej, posiada mniej sentymentalną nazwę, bowiem w niektórych częściach Polski, ze względu na kulisty kształt kwiatu zwą go „wołowym okiem”.

Na terenie województwa leszczyńskiego występuje kilka stanowisk pełnika europejskiego, które zostały przeze mnie opisane pod względem florystyczno-fitosocjologicznym z podziałem na trzy grupy.

A. Stanowiska pełnika europejskiego notowane w literaturze.

1. Goniembice - gmina Lipno, rezerwat florystyczny zarejestrowany pod nazwą „Dolinka” (1977 r.), o powierzchni 1,77 ha, położony na torfiastej łączce, środkiem której przebiega rów melioracyjny. Pełnik występuje łąkowo w czterech skupieniach, pokrywając 15-20% powierzchni rezerwatu. W opinii florystów jest to najliczniejsze stanowisko pełnika na tym terenie, a także dotychczas znanych w Wielkopolsce.

B. Stanowisko pełnika europejskiego dotąd nienotowane w literaturze.

1. Radomicko - gmina Lipno (A. Kaźmierczak - 8.05.1986 r.). Około 1,5 km w kierunku na północny-wschód, od miejscowości Radomicko, wśród łąk położonych w dolinie rzeki Samica. Na obszarze około 6-7 ha., odnotowałem 43 stanowiska pełnika europejskiego, w tym 24 stanowiska od 1-5 egzemplarzy i 19 stanowisk większych liczących od kilkunastu do kilkudziesięciu osobników tej chronionej rośliny. Badania fitosocjologiczne na tym terenie przeprowadziłem w dwóch kolejnych sezonach wegetacyjnych, w latach 1986-1987

2. Sądzia - gmina Włoszakowice (A. Kaźmierczak - 12.05.1986 r.). W odległości około 200 m w kierunku południowym od budynku szkolnego w Sądzi, na wilgotnej łączce, otaczającej kępę zarośli olchowych tuż przy rowie ciekowym - występują cztery skupienia pełnika. Na uwagę zasługuje stanowisko przy wschodniej krawędzi olszynki, gdzie na powierzchni około 30 m² pełnik występuje łąkowo w postaci dorodnych (ok. 90 cm wysokich) bylin.

3. Wojnowice - gmina Osieczna (A. Kaźmierczak - 26.05.1988 r.). W odległości około 2 km od miejscowości Wojnowice i ok. 200 m na południowy-wschód od wału ochronnego (Zbiornik retencyjny „Wonieść”) mniej więcej na wysokości zachodniej części Jeziora Witosławskiego - lekko podmokłej łące - występują w rozproszeniu niewielkie skupiny pełnika europejskiego. Najczęściej są to egzemplarze wątłe, słabo rozwinięte, występujące pojedynczo lub w małych grupkach 1-3(7), wykazujące tendencje zanikania. Ponadto w roku 1989, przystąpiono do zaorywania, mniej wartościowych partii łąk, wsiewając następnie szlachetniejsze gatunki traw.

W roku 1938 A. Wodziczko „Pomniki i Zabytki Przyrody Wielkopolski” z terenu byłych powiatów (leszczyńskiego i kościańskiego) wymieniał trzy stanowiska pełnika europejskiego i to w następujących miejscowościach: 1. łąki koło Robaczyna, 2. łąki podmokłe na północ od Gronowa 3. łąka podmokła w Błotkowie. Pomimo usilnych poszukiwań na przestrzeni ostatnich lat - stanowisk tych dotąd nie odnalazłem, stąd należy przypuszczać, że prawdopodobnie pełnik tam już nie występuje.

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na fakt, że dotychczas odnalezione stanowiska pełnika europejskiego (Radomicko, Sądzia, Goniembice i Wojnowice) występują głównie w dolinie rzeki Samica i jej odnogach, i to w pasie stanowiącym strefę przybrzeżną ostatniego zlodowacenia bałtyckiego.

WK nr 6/1991

* Mgr Antoni Kaźmierczak, nauczyciel biologii, badacz przyrody i działacz ruchu ekologicznego, zmarł w 1995 r. w Kościanie; pochowany został tamże na Starym Cmentarzu Katolickim. Jego imię nosi jedna z ulic w mieście.

Sylwetki księży katolickich

Zakochany w Ziemi Kościańskiej

Syn rolnika Melchiora i Antoniny z Wawrzyniaków (primo voto Nowaczykowa) urodził się 25 XI 1882 r. w Krajkowie w powiecie śremskim. Wieś położona blisko Warty liczyła w owych czasach 43 domy, 355 mieszkańców, z tego 345 katolików i 10 ewangelików. Duże gospodarstwa Ciepluchów - 32 ha - pochodziły z parcelacji dóbr czempnińskich wykupionych w 1834 r. na subhastacji przez skarb państwa pruskiego. Po dwóch tygodniach dziecko zostało ochrzczone w kościele parafialnym w Żabnie. Nadano mu imię Zygmunt. Rodzicami chrzestnymi byli Andrzej Antczak i Franciszka Majchrzycka.

Przez 3 lata uczęszczał do szkoły powszechnej w Swarzędzu, potem przez 9 lat do Królewskiego Gimnazjum w Śremie, gdzie 20 II 1902 r. zdał maturę. Święcenia kapłańskie otrzymał 11 II 1906 r. w Gnieźnie, z rąk ks. biskupa Antoniego Andrzejewicza. Od 1 III 1906 r. był wikariuszem w Komornikach, od 1 III 1907 r. w Brodnicy, od 1 IV 1916 r. administratorem parafii Mórkowo, Nominację na proboszcza w Oborzyskach Starych otrzymał 1 V 1916 r. Parafię przejął po zmarłym ks. Adolfie Heinrichcie, zacnym i szczerym polskim patriotą, który w okresie „Kulturkampf” był kapłanem katolików niemieckich przy kościele Pana Jezusa w Kościanie.

Czas wolny od zajęć kapłańskich poświęcił ks. Zygmunt Cieplucha działalności piśmienniczej. W latach 1907 - 1916 tłumaczył z niemieckiego i przerabiał na użytek krajowy popularne broszury, w „Ruchu Chrześcijańsko-Społecznym” publikował artykuły z zakresu zagadnień społeczno-moralnych i oświatowych, w „Miesięczniku Kościelnym” z zagadnień apologetycznych i biblijnych, w „Nowej Bibliotece Kaznodziejskiej” opracowane przez siebie kazania. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu

wydała w 1910 r. jego książkę pl. „Własność prywatna”, w 1911 r. „Wykłady dla młodzieży” - II wydanie w 1921 r. oraz w 1916 r. „O istocie religii”.

W „Własności prywatnej” opowiedział się ks. Cieplucha za jej istnieniem w dostatecznych rozmiarach, bowiem interes własny uważał za najsilniejszą sprężynę działalności produkcyjnej. Pisał:

„Ci, którzy mniemają, że po zaprowadzeniu własności wspólnej, ludzie pełni będą ducha społecznego i wspianiałomyślnie ustąpią owoców swej pracy ogółowi, zadawalając się taką samą częścią jak otrzymują inni, zapoznają zupełnie skłonnością do wygody i lenistwa naturę ludzką, której zmienione stosunki ekonomiczne i społeczne chyba nie przeistoczą się. Nie widziano jeszcze by państwo gospodarzyło oszczędnie”.

Według Ciepluchy własnością wspólną powinny być: drogi, koleje, poczta, muzea, biblioteki - o ile zostały zbudowane dla dobra ogółu.

W „Wykładach dla młodzieży” nawoływał młodych Polaków do wydajnej i dobrej jakościowo pracy, do gospodarności i oszczędności, poświę-

Marian Koszewski*

Fot. ze zbiorów rodziny autora



cenia się dla Polski i bliźnich. Żądał od młodzieży nauki, postępowania zgodnego z religią katolicką, nie angażowania się w ruch socjalistyczny.

W Odrodzonej Polsce został w 1919 r. członkiem Wydziału Teologicznego Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Na posiedzeniach wygłaszał referaty. W 1929 r. wydał własnym nakładem w Drukarni Spółkowej w Kościanie książkę „Z przeszłości Ziemi Kościańskiej”.

Książka składa się z dwóch części. W pierwszej autor wprowadza nas w ogólną problematykę dawnego powiatu kościańskiego w jego granicach historycznych, w drugiej przedstawia zarys dziejów 64 miast i wsi powiatu kościańskiego, bez powiatu śmigielskiego, natomiast częściowo ze śremskim - do Warty.

Okupację przeżył ks. Cieplucha w Oborzyskach Starych. Obsługiwał parafię dekanatu kościańskiego, częściowo gostyńskiego, obecnie dekanat krzywiński. Z ksiąg parafialnych w Oborzyskach St. dowiadujemy się, że ks. Cieplucha udzielił w 1941 r. - 19, w 1942 - 677, w 1943 - 760, 1944 - 781, 1945 - 54 chrztów. Prowadził też wiele pogrzebów: w 1941 r. - 11, w 1942 - 128, w 1943 - 241, w 1944 - 142, 1945 - 40. Skończyła się okupacja i ks. Cieplucha wrócił do swoich normalnych obowiązków. Tak jak dawniej przyjmował pielgrzymki na odpust Matki Boskiej Pocieszenia w I niedzielę po św. Augustynie; spotykał się z bliskimi znajomymi, z którymi lubił grać w brydża. Pamięć o nim jest nadal żywa w parafii oborzyskiej. Pamiętają go i wspominają także starsi kościaniacy, kiedy rozmowy toczą się o niemieckiej okupacji.



Okładka dzieła ks. Zygmunta Ciepluchy

KS. ANTONI SCHWARZ

Ks. Antoni Schwarz - syn stolarza Antoniego i Stefanii z Przybeckich - urodził się 25 V 1911 r. w Kościanie. Był najstarszym z 9-osobowego rodzeństwa. Maturę zdał 23 V 1928 r. w Państwowym Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie. W tym samym roku podjął studia matematyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Przerwał je w 1929 r. i rozpoczął studia teologiczne w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Gnieźnie i Poznaniu. Święcenia kapłańskie otrzymał 17 VI 1934 r. Od 1 VII 1934 r. był wikariuszem w Buku, a od 1 VII 1936 r. w Wolsztynie. We wrześniu 1937 r. został skierowany przez prymasa ks. arcb. Augusta Hlonda na studia prawnicze w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W Lublinie pełnił funkcję kapelana w „Sali Sierot”. Pod koniec września 1939 r. wrócił do Kościana.

W październiku 1939 r. na polecenie ks. bpa W. Dymka, przejął ks. Schwarz obowiązki rektora kaplicy Pana Jezusa w Kościanie, po aresztowanym ks. Alfonsie Graczyńskim. W zakresie posługi duszpasterskiej rektora kaplicy znajdowali się pacjenci



Ks. Antoni Schwarz. Fot. w zbiorach J. Zielonki

miejscowego Zakładu Psychiatrycznego, zagazowani między 15 i 22 stycznia 1940 r. w transporcie do lasu Jarogniewice.

Przeprowadzona przez gestapo 16 II 1940 r. akcja internowania księży w mieście i powiecie kościańskim objęła także ks. Schwarza. Osadzony w Klasztorze Benedyktynów w Lubiniu, został wywieziony 22 V 1940 r. zbioro-

wym transportem do Dachau, poprzez Fort VII w Poznaniu. Od 2 VIII 1940 r. do 8 XII 1940 r. przebywał w obozie koncentracyjnym Gusen (utracił całkowicie zdrowie), potem ponownie w Dachau, gdzie zmarł 7 I 1941 r. (ogólne wycieńczenie organizmu).

Telegram, jaki otrzymali rodzice od komendanta obozu, umożliwił ojcu księdza i jednemu z braci wyjazd do Dachau i obejrzenie zwłok w obozowej kaplicy. Prochy księdza, przesłane z krematorium w Monachium, zostały pogrzebane w dniu 13 II 1941 r. na starym cmentarzu w Kościanie. Pogrzeb prowadził jeszcze ks. prob. Stanisław Bednarkiewicz, dziesięć miesięcy później aresztowany i osadzony w niemieckim obozie w Dachau, gdzie zmarł 9 XII 1941 r.).

WK nr 1/1992

**Marian Koszewski, rodowity kościaniak, współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, znawca historii Kościoła katolickiego oraz dziejów wielkopolski pod okupacją niemiecką, Honorowy Obywatel Miasta Kościana, zmarł w 2006 roku w Kościanie i pochowany został tamże - na Starym Cmentarzu Katolickim. Jego imię noszą: Szkoła Podstawowa nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie.*

Blubry Starego Marycha

Grunt, to żeby grunt był podatny

Tam nie wiem jak wy, ale ja osobiście mam stałe miejsce przy stole i to z dawien dawna. Jak wew czwórkę z Biniem, Helcią i Frącką usiadymy się na ten przykład do kaszoka na kolację, to tak: Frącka funksynuje od strony angielskiej, żeby miała bliżej do garnyszków i ona podaje. Helcia znowu zawdy musi się uczaplić kole Frącki, ale zaraz przy statorach, bo ona nakrywa. Biniu siedzi krybonami do okna, bo inaczej onego światło razi... No a ja osobiście zawdy przy samych drzwiach, bo tu najmniej ciągnie po

gierach, a do tego jak kto zadzwoni po dzwonku, to pierwszy letę szpynąć przez judasza, żeli chować to co naszykowane przed jakim zgłodnieniem, czy nie, albo chociaż zabajtować gościa w antrejce, żeby reszta spuła wszystko do końca, zanim się przysiadzie.

Tak jest już od lat. I wszyscy do tego przywykli, że nawet po omacku jeden drugiemu w śrutowaniu by nie przeszkadzał.

Tej, i co? Wczoraj wieczorem knaję się do chaty, umęczony jak złokreś, na ten nasz czwarty kij wuchę gemizy z naszej działki w miechu tośtam, drzwi od klatki ze schodami se roztwieram, tyłem ryn

Juliusz Kubel*

Fot. archiwum „WK”



do środka wchodzę, miech za sobą ciągnę, zaś później w antrejce go stawiam i tak samo tyłem do kuchni się wsmykuję... No i chcę się rukcuk usiąść, bo už na giery nie mogę wytrzymać... A tu ledwie ucupłem, już coś pod motyką czuję. W pirwszej chwili to se pomyślałem, że usiadłem się na Amisia, i zrobiłem z niego pryndzla, ale ni styndy ni z

owyndy zamiast szczekania słyszę głos Binia:

-A ty Marych co? W bynbasa się obracasz? Komuś na kolana się skrabiesz? Dali, zeńć ze mnie, bo mi duszno!

Obracam się i widzę Binia, wylynę jedną, jak se siedzi na moim miejscu. Frącka też zmieniła się zez Helcią, a na stole zamiast kolacji są aby tuskami nacychowane kreski. Wszyscy się na mnie szpycują, nikt nawet papą nie rusza.

- Sami mi powiecie, co jest łoś, czy mam się was o to ekstra spytać? - mówię ja do nich spokojnie, ale czuję, że spokój nie jest moją siłą.

- Dali, nie gajcej się Marych - roztwarła koniec końców kalafkę Helcia - ino bierz się do roboty!

- Że niby co mam robić? - pytam się onej.

- Kaszoka odgrzewaj, statory na stół ustawiej i to tak ań-cwaj-draj, bo głodny jestem, żebym konia z kopytami żdzarł! - wypalił Biniu.

- Ino uważej, żeby każdemu podać dokładnie pod klukę - wtrąciła się Frącka - Tak jak masz na stole nacychowane. Twoje miejsce jest obecnie pod oknem.

- Czy wyście ogupieli na cołki łeb? - ja mówię - Z gorem coś mocie? To ja skatajony jak nie wiem co do chaty ledwo się dosztygałem i mam kole was skokać i jeszcze osóbkki robić? Ja z moim heksenszusem mam kole okna siedzieć? O, nie ma da! Zaraz mi tu nazod zrobić jak było do tych pór!

- Nic nie będzie nazod tak jak było - objaśnił mi Biniu - bo my tu zarządzili nową proformę administracyjną i podział stołu teraz idzie na nową modę.

- Wyście se zrobili, tak? - czułem, że mi drętwieją przegupia, a to oznacza u mnie, że jestem na parę sekund przed dostaniem delerii - I zrobiliście, że ja od tego mam najgorzej! A nie trzeba było też mnie osobiście się spytać, żeli taka zmiana mi ploży, czy też nie?! Szak JA tu jestem najstarszy z wieku i urzędu! Na mnie mówią Stary Marych, a nie na Helcią, abo Frąckę, bo kto by to zaryzykował? Nawet ty

Biniu jesteś do mnie siusiak. Więc ja się was pytam, żeli mi się co przy tym stole należy, czy też nie?

Trzasłem drzwiami, aż sąsiadowi piętro niżej pół posoby na globus sprysł i poszłem se precz. Jeszcze wczoraj do dnia colki żem lotoł istny galart na widelcu. Ale ino do dnia. Bo po odbiedzie to już lotoli wszyscy bez wyjątku. A to wszystko bez to, że spikli my się znowyk we czwórkę na naszej dziołce. Tej i co się pokazało. To konkretnie, że na naszym gruncie zastali my jakiegoś obskiego fiflancika, co przetwierał się w te i nazad zez takim cyrklem zez dwóch sztychów na krzyż i coś obmierzał.

- Tej, a ty co! - Frącka do niego dopryśła - Ino mi styndy fyrej, bo jak cie pucnę w glacę, to się z rozumem nie pozbierasz.

- Proszę odstąpić - on jej na to - Właśnie odmierzam nowy podział działek, podług nowej proformy działkowej. Wychodzi na to, że wasza działka bez pół będzie teraz należeć do skomasowanego do kupy terenu pobocznego, a bez pół będzie przyłączona do terenu ubocznego. Biniowa działka za to się powiększy o część tej Kaczmaryszkowej, gdzie ma stojeć szopkę, za to umniejszy o pompę. Tak musi być, bo za tym przemawia racja nowego stanu.

Myślałem, że wszystkich, tak jak my stojeli, sieknie na miejscu.

- A ty wiesz, wylynę jedna - śwignęła się do fiflancika Helcia - że to są kto wie, żeli nie najlepsze działki na cołkim Łazarzu i okolicy? Że tu rok w rok rosną najbarzy dostane druzgowki, świętojanki, angryst, redyski, głubki, apykozy, sznytłozek, a nawet gryczpan?

- Nic na to nie poradzę - fiflancik się napuczyl - innym trzeba gruntu dołożyć i nikt się was o zdanie nie pyta!

Usiedli my się na bryczuszkach i patrzeli my się, jak onowiciel tretował nasze radlinki i jak na komendę obiecali, że w chacie żadnych nie konsultowanych przesunięć już więcej nie będą mi robić, bo teraz sami widzą czym to pachnie. A Frącka wbiła ślypska w

czubki własnych trzewików, schwycała się za ondulację i na głos powiedziała:

- Wiara dejcie mi jaką lolą w gnyk abo co, bo inacy jak ament w pacierzu trafię na kurację do Kościana. Nie wiem, żeli ja dostałam myk-myk, czy kto inny, ale czuję, że skończę gdzieś w Kościanie na odwykówce od gupoty chorobliwej.

Nic jej nie powiedziałem, bo nieboraczka pewnie nie wiedziała, że w Kościanie obecnie nikt nie ma głowy na obskie problemy. Bo tam sami swoich dosyć mają. Też ich dotknęły skutki ogólnokrajowej choroby proformy powiatowej, znaczy się nowego podziału gruntu. A trzeba powiedzieć, że ci od dzielenia są w Warszawie. I też raz chcą dawać, drugą razą znowyk zabrać. Zależy jak ich kto tam podchecuje. A do tego nikt się nie pyta o zdanie ani tych zez samego Kościana, ani tych z jednej abo drugiej gminy. A szak oni pewnie najlepiej wiedzą, gdzie chcą należeć. A szak na tym terenie to Kościan, tak jak ja na swojej działce - jest dużo ważniejszy, większy i starszy tradycją osobistą czym inni. I trzeba by pamiętać, że tak było z dawien dawna.

Muszę wam powiedzieć; że jak tak se o tym myślę, to wychodzi mi na to, że rację stanu mają ci, co gruntowne proformy robią do ludzi, a nie im naprzeciwno. Na moje, to jest bez różnicy, żeli się rozchodzi o miejsce przy stole, nowy podział działek, czy wielgość powiatów. Jak by była wielga proforma, jak ino ma dotyczyć podziału gruntu, to chebać trzeba nasampierw sprawdzić, na jaki podział grunt jest podatny, szak nie?

WK nr 9/1993

* Autor (pseudonim „Stary Marych”) – rodowity poznaniak - jest publicystą, pisarzem regionalnym, popularyzatorem gwary wielkopolskiej. Cykl swoich felietonów opublikował na łamach „WK”.

Portret na okładkę

**Bogdan
Ludowicz***

* Autor fotografii jest rodowitym kościaniakiem, fotoreporterem, dziennikarzem „Panoramy Leszczyńskiej”. Od pierwszego numeru „WK” jego zdjęcia ilustrują nasze pismo. W 1988 r. zainicjował cykl fotografii na okładkę nazwany „Portrety Kościaniaków”. Prezentowane tu zdjęcie miało się znaleźć na okładce 10. numeru „Wiadomości” w marcu

1989 r. Przedstawia ono znanego nauczyciela, pierwszego kierownika Szkoły Podstawowej nr 4 w Kościanie, członka sztabu Inspektoratu Rejonowego ZWZ/AK w Lesznie pana Ignacego Minta. Los chciał inaczej. Nie zdążyliśmy. Ignacy Minta zmarł 21 lutego 1989 r. w Kościanie, spoczywa tamże na Nowym Cmentarzu Katolickim.

Fot. Dariusz Borowski



Ignacy Minta (1907 – 1989)

O śmigielskiej ciuchci

Jan
Pawicki*



Fot. Teresa Mastowska

10 marca 1897 r. sejmik powiatowy w Śmiglu podjął uchwałę w sprawie budowy drugorzędnej kolei o jednometrowej szerokości toru z Krzywina do Ujazdu. Uchwała ta stanowiła podstawę do szybkiego podjęcia odpowiednich prac przygotowawczych, tj. zgromadzenie odpowiedniego kapitału, opracowanie projektu budowy, a także rozpoczęcie już w 1898 r. prac związanych z budową.

1.

Wiek XIX to wiek pary i elektryczności, wiek rozwoju przemysłu, a także transportu, a szczególnie kolejowego. Na terenie Wielkopolski południowo-zachodniej pierwsze połączenie kolejowe uruchomiono w dniu 29 października 1856 r. między Poznaniem a Wrocławiem. Część trasy przebiegała przez teren powiatu kościańskiego, a także śmigielskiego, omijając jednak Śmigiel. Przyczyną takiego przebiegu trasy było najprawdopodobniej ukształtowanie terenu i związane z tym ewentualne koszty budowy. Społeczeństwo miasta i powiatu śmigielskiego czyniło starania o to, by linia kolejowa przebiegała przez Śmigiel. Podobne staranie było czynione przy projektowaniu budowy linii kolejowej z Leszna do Zbąszynia. Mylne były wręcz zarzuty pod adresem miejscowych władz i społeczeństwa, że nie chciały zgodzić się na przeprowadzenie linii kolejowej przez to miasto. To stanowisko i starania zostały potwierdzone delegacji miasta w 1896r. przez ministerstwo kolei. W związku z tym, że starania te nie zostały zakończone pomyślnie, zaczęto zastanawiać się nad budową kolejki wąskotorowej.

W 1897 r. urzędowe pismo związku właścicieli tramwajów i kolejek wąskotorowych donosiło, że powiat śmigielski planuje budowę kolei wąskotorowej dla przewozu osób i ruchu towarowego z Krzywina przez Stare Bojanowo, Śmigiel i Wielichowo do Ujazdu, do dworca kolei państwowej bocznej z Grodziska do Kościana bądź Czempinia, ale bez połączenia z koleją wąskotorową Kościan-Gostyń. Śmigiel był wówczas miastem powiatowym, liczącym w 1896 r. 3811 mieszkańców. W mieście istniało 291 warsztatów rzemieślniczych, rozwijał się handel. Społeczeństwo doskonale zdawało sobie sprawę, że pozostawanie z dala od kolejowych linii komunikacyjnych stanowić będzie w przyszłości o wymiernych

stratach, jakie z tego tytułu będzie zmuszone ponosić.

W związku z tym już w 1893 r., magistrat Śmigła podjął uchwałę o powołaniu komitetu budowy linii kolejowej, składającego się z przedstawicieli władz administracyjnych, a także właścicieli ziemskich. Niezależnie od tego, w związku z rezygnacją budowy linii kolejowej z Kościana do Gostynia przez Krzywina doszło do porozumienia w sprawie kolei między władzami Śmigła i Krzywina.

Niewątpliwym wpływem na staranie o budowę, a także szybkie tempo realizacji linii kolejowej miały przyczyny ekonomiczne i to zarówno dla zainteresowanych miast jak i okolicznych właścicieli ziemskich. Ówczesni znawcy problemu stwierdzili, że dochody osiągane przez ludność z istnienia kolei są 6-krotnie większe od dochodów brutto tych kolei. Przyniosły więc one korzyści i społeczeństwu, i państwu.

Ciekawą ilustracją tego poglądu w tym wybitnie rolniczym terenie jest sprawa targów na świnie, które odbywały się w Śmiglu, a także Czempiniu. Nie było ich w Kościanie, którego władze usiłowały uzyskać zgodę na ich odbywanie w mieście. Udało się to właśnie w 1897 r. Targi te były poważnymi imprezami. Zjeżdżali się kupcy z bliższych i dalszych okolic, a nawet ze Śląska. Warto wspomnieć, że na pierwszym targu, jaki odbył się w Kościanie 19 lipca 1897 r. sprzedano ok. 300 sztuk świń. Miasta, gdzie odbywały się targi bogaciły się, gdyż część pieniędzy uczestników w różny sposób trafiała do ich mieszkańców. Niebagatelną rolę miała tu do spełnienia kolej ułatwiająca przywóz i wywóz zakupionego towaru. Świadomość tego doprowadziła w poniedziałek wieczorem, w dniu 8 marca 1897 r. do spotkania na terenie tamtejszej strzelnicy, społeczeństwa miasta Śmigła z przedstawicielami miejscowych władz oraz władz kolejowych w sprawie budowy „drugorzędnej kolei z Wielichowa do Krzywina”. Przedstawiciele ci szczegółowo informowali zgromadzonych o korzyściach, jakie odniosą z budowy kolei. Po dyskusji podjęto decyzję, by na sejmiku głosować za podjęciem uchwały o budowie linii kolejowej.

2.

Sejmik ten odbył się jak wspomniano 10 marca 1897 r. 24 głosami przeciw 8

uchwalono:

„1. budować linię drugorzędną o jednometrowej szerokości toru z Krzywina przez Czerwoną Wieś, Zgliniec, Sławie, Stare Bojanowo, Śmigiel, Nowydwór, Żegrowo, Polskie Wilkowo, Wielichowo do Ujazdu (stacji budować się mającej kolei państwowej z Kościana do Grodziska), 2. jak najwcześniej projekt tejże kolei drugorzędnej wygotować, 3. tym interesantom z powiatu śmigielskiego, którzy by się koleją konną do tejże linii przyłączyć chcieli, do kosztów budowy kolei konnej 5 marek za bieżący metr wspomóżki z zasobów powiatowych udzielić”.

6 czerwca 1897 r. „Gazeta Kościańska” donosiła, że w sobotę 12.6. o godz. 7 wieczorem odbędzie się posiedzenie w sprawie dokładnego wyznaczenia toru kolejowego ze Starego Bojanowa do Śmigła. Ta sama gazeta relacjonując przebieg posiedzenia podawała, że: „postanowiono tor kolejowy poprowadzić wzdłuż szosy ze Starego Bojanowa do młyna wodnego, a następnie polami do Śmigła”. Informowała też, że nie podjęto jeszcze decyzji w sprawie określenia miejsca budowy w Śmiglu dworca. Przed podjęciem decyzji „w tej sprawie będą najpierw interesanci z miasta wysłuchani i podług ich propozycji komisja uchwałą podejmie”.

Jak wspomniano budowę kolejki rozpoczęto już w 1898 r., a w urzędowym „Amtsblatt für Königlichen Regierung zu Posen” ukazało się zarządzenie prezydenta prowincji z 4.8.1900r. wydane na podstawie ustawy z 28 lipca 1892 r. o kolejkach wąskotorowych i prywatnych przyłączeniowych, udzielające powiatowi śmigielskiemu na 50 lat zezwolenia na wybudowanie i uruchomienie kolei wąskotorowej z Krzywina do Ujazdu dla przewozu osób i towarów za pośrednictwem trakcji parowej. Zarządzenie to szczegółowo omawiało warunki eksploatacji. Jest tam m.in. dyspozycja o dopuszczalności prędkości jazdy

do 30 km/ godz. Prędkość tę można było przekraczać tylko na małych odcinkach. Wszelkie zmiany taryfowe należało ogłaszać za pośrednictwem urzędowych biuletynów powiatów Grodzisk, Śmigiel i Kościan. Koszt budowy linii od Krzywina do Ujazdu wyniósł 1.394.000 marek. Wkład kapitałowy ze strony państwa wyniósł 452 tys. marek, prowincji 226 tys. marek i ze strony powiatu 716 tys. marek.

Oficjalne otwarcie odcinka linii ze Starego Bojanowa do Krzywina długości 17,86 km dla przewozów towarowych nastąpiło 17 września 1900 r. Kolejny odcinek ze Starego Bojanowa przez Śmigiel, Wielichowo do Ujazdu II długości 34,42 km oddano do użytku 30 października 1900 r. I wreszcie odcinek z Ujazdu II do Ujazdu I długości 1,86 km oddano z dniem 1 września 1901 r. Łączna długość linii z Krzywina do Ujazdu I wynosiła 54,14 km. W chwili otwarcia zarząd Śmigielskiej Kolei Państwowej zatrudnił 17 urzędników i 30 innych stałych pracowników.

Po stalowych szynach o wadze 15,9 kg na metr bieżący poruszało się 5 lokomotyw tendrowych firmy Krauss Co. z Monachium, z których 4 zakupione zostały już w 1899 r. a piąta w 1900 r. Były to parowozy o układzie osi 0-3-0 i 0-3-1, które pomyślnie eksploatowano przez szereg lat. Nadto do dyspozycji Zarządu było 8 wagonów osobowych klasy II i III oraz 99 wagonów towarowych. Długość bocznic wynosiła 8,85 km. Całkowita długość torów wynosiła więc 62,99 km. Wysokość dochodów od klientów w miesiącu kwietniu 1902 r. wyniosła 4935; marek, a w tym samym miesiącu roku następnego 4520 marek. W związku z tym, że wpływy z tytułu użytkowania odcinka z Łubnicy do Ujazdu były nieduże, w dniu 14 sierpnia 1905 r. wydano decyzję o zawieszeniu ruchu i likwidacji w/w odcinka. Wkrótce jednak powstał projekt przedłużenia linii z Wielichowa do Rakoniewic, gdzie łączyłaby się ona z linią Grodzisk-Wolsztyn. Otwarcie tego odcinka nastąpiło w dniu 1 sierpnia 1910 r.

3.

I wojna światowa i fakt, że linia przebiegała przez tereny oddalone od ówczesnych teatrów wojennych i w związku z tym brak inwestycji i większych remontów przyczyniły się do dużej dekapitalizacji majątku. Sytuacja ta doprowadziła, w pierwszych latach po I wojnie, do sporych trudności

w zakresie przewozów, początkowo do ograniczenia ruchu pociągów, a w okresie od 7.7.1923 r. - 8.10.1923 r. do całkowitego jego wstrzymania. Pożyczka zaciągnięta przez Śmigielski Wydział Powiatowy od miejscowych właścicieli ziemskich i mieszkańców Śmigla i Wielichowa, a także sumy uzyskane od cukrowni kościańskiej za sprzedane szyny z rozebranego 7 km odcinka torów z Wielichowa do Augustowa, pozwoliły na przeprowadzenie niezbędnych prac remontowych. Pozostały odcinek torów od Łubnicy rozebrano w 1925 r. Ostatecznie kryzys został przezwyciężony i kolejka rozpoczęła pewnie wykonywać swoje zadanie.

W 1931 r. stan posiadanego taboru przedstawiał się następująco: parowozy z tendrem - 5 sztuk, wagony bagażowe - 3 sztuki, wagony osobowe II i III kl. - 4



Pracownicy ciuchci przed 1932 r.

Fot. w zbiorach autora tekstu

sztuki, wagony osobowe III kl. - 4 sztuki, wagony towarowe kryte 15 t - 2 sztuki, wagony towarowe kryte 12,5 t - 5 sztuk, wagony towarowe kryte 6 t - 25 sztuk, wagony towarowe otwarte węglarki 10 t - 28 sztuk, wagony towarowe otwarte węglarki 6 t - 35 sztuk, wagony towarowe platformy 10 t - 2 sztuki.

Świadectwem przezwyciężenia kryzysu było wybudowanie w 1928 r. okazałego budynku administracyjnego w Śmiglu. Nie obce były też nowinki techniczne. Już przez II wojnę równocześnie na kolejce śmigielskiej i średzkiej wprowadzono transportery wagonów typu roll-bock, podstawianych pod każdą oś wagonu normalnotorowego. Wykorzystywano je do końca lat 50-tych. Dopiero w latach 1961-62 wprowadzono nowy typ transportera polskiej produkcji. Krótko przed II wojną zakupiono z Chrzanowskiej Fabryki Lokomotyw parowozy serii Tx 26 o układzie osi 0-4-0. Ciekawostką w zakresie działalności kolejki był fakt zakupienia przez Zarząd w 1929 r. 2 autobu-

sów marki Ford, które wykorzystywano do obsługi ruchu pasażerskiego na trasie Śmigiel- Stare Bojanowo, Śmigiel - Kościan itd. Warto tu podać, że koszt przejazdu na trasie Śmigiel - Stare Bojanowo wagonem II kl. wynosił 75 gr., a wagonem III kl. 60 gr. Przejazd autobusem na tej samej trasie kosztował 65 gr. W 1932 r. ceny obniżono w ten sposób, że przejazd wagonem III kl. lub autokarem kosztował 40 gr. Z istniejących dokumentów wynika, że od 1.4.1931 r.-31.3.1932 r. przewieziono w II kl. 4.617 osób, III kl. 41.829 osób, autobusami 25.729 osób. W tym samym okresie przewieziono 35.362 tony towarów. Dochody kolejki przedstawiały się w poszczególnych latach różnie, ale ogólnie świadczyły o stabilizacji. Sprawozdanie za rok finansowy 1927/ 28 wykazało zysk 3.216.16 zł..

W związku z likwidacją w 1932 r. powiatu śmigielskiego, kolejka przeszła do 1949 r. na własność powiatu kościańskiego. Od tego momentu, do wybuchu wojny w 1939 r., nosiła nazwę „Kościańska Wąskotorowa Kolej Powiatowa w Śmiglu” i podlegała Zarządowi Kościańskiej Kolei Powiatowej.

4.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. pierwszym znanym dyrektorem kolejki był starosta śmigielski, Kopczyński. Po nim, w 1927 r., stanowisko to przejął i do 1930 r. pełnił funkcję dyrektora inż. Lipski. Od 1930 do wybuchu wojny oraz po wojnie do 30.6.1949 r., tj. do momentu przejścia kolejki przez PKP, dyrektorem był Jakub Majchrowicz. Omawiając sylwetki osób kierujących kolejką należy wspomnieć o osobie dyrektora Kościańskiej Kolei Powiatowej, Franciszku Obaro, który został rozstrzelany przez hitlerowców w pierwszej publicznej egzekucji w Kościanie w dniu 2 października 1939 r. i którego prochy znajdują się w mauzoleum na tamtejszym cmentarzu. W okresie II wojny zarząd kolejkę sprawowali wyznaczeni Niemcy: Eppler i Hassel. W czasie wojny majątek kolejki nie poniósł poważniejszego uszczerbku poza nieznacznymi uszkodzeniami niektórych mostów. Wszystko to pozwoliło już w pierwszych trudnych dniach lutego 1945 r. podjąć normalną działalność...

WK nr 7-8, 10/1992

* Autor jest prawnikiem i regionalistą. Urodził się w Grodzisku Wielkopolskim, mieszka w Kościanie.

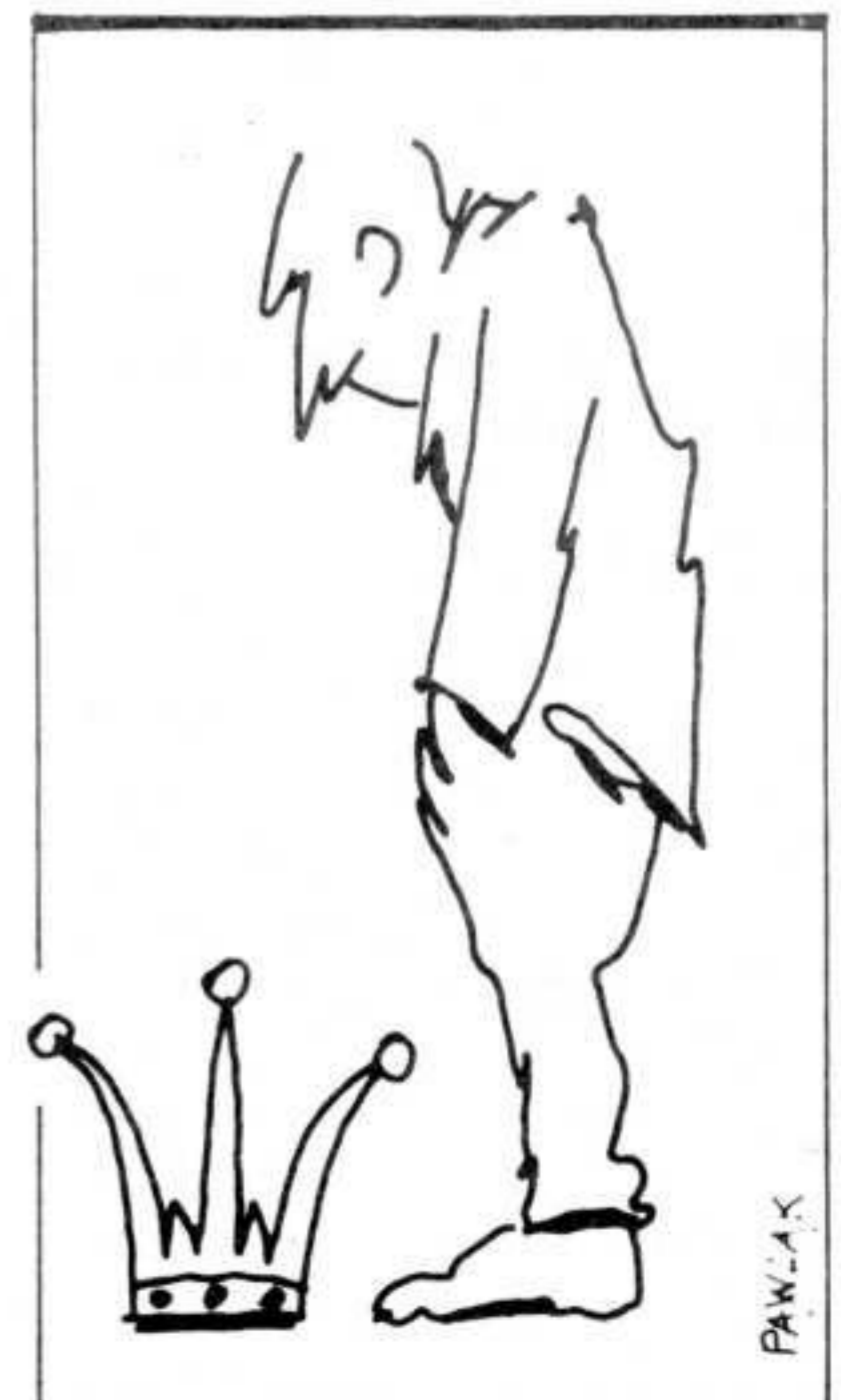
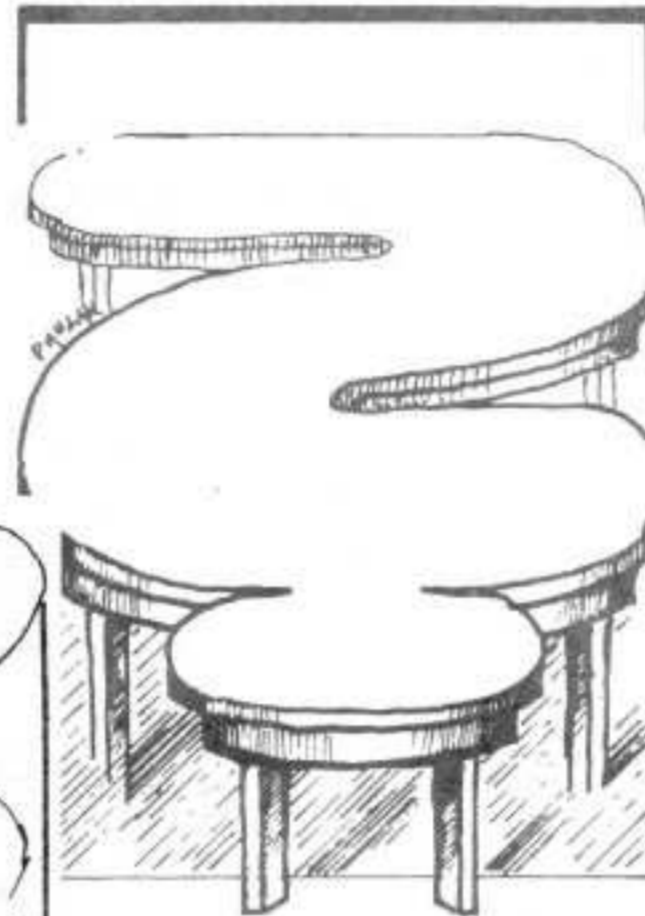
W krzywym zwierciadle

Grzegorz Pawlak*



Fot. ze zbiorów autora

* Autor jest kościaniakiem, wszechstronnym artystą plastykiem: maluje, rysuje, tworzy grafikę komputerową. Od 1988 r. związany z „Wiadomościami” - opracował graficznie wiele numerów naszego pisma, projektował okładki książek. Jego rysunki satyryczne, których kilka prezentujemy, zawsze wzbudzały zainteresowanie cenzury.



Muzyczne początki Tadeusza Kościowa

Senior kościańskich muzyków, zasłużony dla Wielkopolski dyrygent, kompozytor i działacz ruchu śpiewaczego - Tadeusz Emil Kościów, ukończył 15 czerwca br. 85 lat życia. Chórzyści, członkowie orkiestr, starsze pokolenia miłośników śpiewu chóralnego na ogół znają jego zasługi i owocną działalność muzyczną w Kościańskim na przestrzeni niemal pół wieku. Mało kto jednak wie, jakie były początki edukacji muzycznej Jubilata, gdzie tkwią źródła jego muzycznych pasji i uzdolnień.

W jego rodzinie jedynie matka była muzykalna, śpiewała w chórze, uczęszczała na próby. Pozostawiła kantyczkę - zbiór starych kolęd, które szczególnie lubiła śpiewać swoim dzieciom. Młody Tadeusz już uczęszczając do II Gimnazjum im. Wincentego Pola w Tarnopolu rozpoczął naukę gry na fortepianie u Józefa Nowakowskiego, wspaniałego wykonawcy utworów Jana Sebastiana Bacha na organach archikatedry lwowskiej. Później, jak wynika z zaświadczenia wystawionego 29 kwietnia 1938 r. przez przeora Konwentu O.O. Dominikanów w Tarnopolu - M. Łanochę:

„P. Kościów Tadeusz przebywał w naszym klasztorze bez przerwy od 1 grudnia 1927 r. do 29 kwietnia 1938 r. w charakterze organisty. Był przytem członkiem Towarzystwa Oratoryjnego oraz zastępcą dyrygenta i brał żywy udział w pracach wspomnianego Towarzystwa jako pianista i kompozytor na publicznych koncertach, akademiach itp. Przez dłuższy okres czasu samodzielnie prowadził chór przy naszym kościele w Tarnopolu, wykazując tak w grze na organach, jak w ogóle w muzyce i śpiewie wysoki poziom artystyczny, ku wielkiemu naszemu zadowoleniu...”

Literat tarnopolski Stanisław Sobotkiewicz (obecnie w Anglii) we fragmencie swego obszernego poematu, zachwycony grą organową Tadeusza Kościowa, pisze:

*„...Ojców Dominikanów kościół na odmianę,
Z osiemnastego wieku, piękny, barokowy,
Miał wprawdzie nie tak wielkie i huczne organy,
Lecz za to ich mistrz, świetny organista, nowy,
Młody, w konserwatorium muzycznym kształcony,
Cuda zaiste na tych organach wyprawiał.*

*Jakie z nich wydobywał melodie a tony,
Jakże na nich tę Wszehmoc niebieską wystawiał,
że się dopiero wówczas chciało przed nią korzyć
I podziwiać to dzieło, tę świętą robotę,
Ten świat, co Bóg zapragnął dla człowieka stworzyć,
I te, co na cześć Jego grały - ręce złote...”*

Nie mylił się poeta. Trzeba bowiem wiedzieć, że równoległe z tą pracą, od 1927r. T. Kościów rozpoczął studia zaoczne w Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, przy ul. Chorążczyzny 7. Śpiewał w uczelnianym chórze, który prowadził sam dyrektor prof. Mieczysław Sołtys. Chór wykonywał IX Symfonię Beethovena. Jego dyrygent skomponował m.in. kantatę na cześć zmarłego arcybiskupa Lwowa Józefa Wilczewskiego a także operę „Śluby Jana Kazimierza”.

Pan Kościów wspomina, że tam, w konserwatorium na dobre „zaraził się” muzyką wokalną, śpiewem chóralnym. Harmonii i kontrapunktu oraz kompozycji uczył go Adam Sołtys (syn Mieczysława), teorii muzyki i form muzycznych - prof. Zofia Świętkowska, klasę fortepianu prowadziła prof. Iwanicka. Solidne więc studia muzyczne otrzymał T. Kościów, choć z powodu dużych trudności finanso-



Dyrygent Tadeusz Kościów (1907-1997)

Fot. Bogdan Ludowicz

Roman Potok*

Fot. archiwum „WK”



wych rodziny musiał je przerwać na 6-tym roku. Z żalem wspomina też fakt, że wspomniany kościół Dominikanów w Tarnopolu, zbudowany w latach 1749-1779 z fundacji Potockich został spalony w 1939 r. przez wojska radzieckie. Nie zachowały się też, niestety, ukochane przez pana Tadeusza, organy.

Pierwszym chórem świeckim, którego członkiem - akompaniatorem oraz zastępcą dyrygenta w latach 1927-1937 był T. Kościów - był Chór Męski „Bard” w Tarnopolu. I tak się zaczęło. Przez rok (1938-1939) działał na terenie swego miejsca pracy - był członkiem - założycielem, dyrygentem Chóru Mieszanego przy Zakładzie Uprawy Tytoniu w Jagielnicy, pow. Czortków oraz kierownikiem zespołu instrumentalnego (tzw. orkiestry salonowej).

Poznano się na jego talencie muzycznym również podczas kampanii wojennej. Jako żołnierz I kompanii strzeleckiej 3 pp zapasowego, w ramach programu kulturalno-oświatowego kierował powołaną samodzielną sekcją artystyczną, w składzie której działała grupa muzyczno-chóralna i grupa teatralna. A potem, po demobilizacji, już na Ziemi Kościańskiej, obok pracy zawodowej w Wytwórni Cygar i Papierosów w Kościanie, jego życie wypełniały chóry, a także tatrzańskie wędrowki z aparatem na piersiach.

Sędziwy muzyk ma wiele ciekawych wspomnień nasyconych śpiewem i muzyką. Jego postać to żywa kronika życia muzycznego w Kościańskim.

WK nr 7-8/1992

* Autor jest uznanym pedagogiem, poetą, działaczem harcerskim, długoletnim członkiem i kronikarzem Chóru Męskiego „Arion” w Kościanie. Napisał i opublikował wiele utworów poetyckich, opracowań regionalnych i artykułów prasowych.

O pięknej Joannie z... Rabinia

Niewielu zapewne wie, że z Wielkopolski pochodzi kobieta, która znalazła się bardzo blisko tronu królewskiego, choć nigdy na nim nie zasiadła. Była nią Joanna Grudzińska urodzona w 1791 r., która swoje najmłodsze lata spędzała w cichym Drzążgowie koło Środy. Nic wtenczas nie wskazywało na niezwykle losy, jakie były jej pisane. O naszej krajance wspominał wprawdzie ostatnio na łamach leszczyńskiego dziennika „ABC” pan Edmund Lepka - emerytowany nauczyciel z Grotnik w artykule zatytułowanym - „Carowa rosyjska spoczywa w Rabiniu”. Niestety w tekście tym, od tytułu artykułu poczynając, występują na tyle poważne nieścisłości, że sprowokowały mnie do napisania na ten temat.

*

Spokojne życie wiejskie nie wystarczało pełnej temperamentu matce Joanny, Mariannie z Doprowskich. Na początku XIX w. rozwiodła się z mężem, ogólnie szanowanym, Antonim Grudzińskim i zamieszkała w Warszawie wraz z córkami Joanną, Józefą i Antoniną. Wkrótce zjawił się człowiek, „światowiec” o burzliwej przeszłości Adam Broniec, który po pewnym czasie poślubił matkę trzech dziewcząt.

Bardzo wystawne życie Brońców przekraczało jednak ich możliwości finansowe. Nawet załatwiona u Fryderyka Augusta - Księcia Warszawy, posada „marszałka” zamku warszawskiego nie wystarczała. Długi rosły i gdy Rosjanie wkroczyli do Warszawy, nie zawahano się w sposób uwłaczający godność prosić nowych właścicieli o nowe przywileje. W takiej sytuacji edukacja córek nie była łatwa. Brońcowa oddała je do francuskiego pensjonatu pani Vaucher, słynącego z dobrego poziomu nauczania i moralności. Jednym z pedagogów pensjonatu był ks. Meherbes, który wszczepił dziewczynom głębokie zasady moralne i szczerą religijność. Po ukończeniu nauki oddano panienki pod opiekę Tekli Łubieńskiej oraz jej córki Pauliny Morawskiej, dzięki którym siostry Grudzińskie otrzymały doskonałe wychowanie. Natomiast urodę dziewcząt podziwiać można i dzisiaj na zachowanych portretach. Współcześnie im żyjący Klemens Kołaczkowski z zachwytem pisał:

„Najstarsza z siostr dwudziestoletnia Joanna, Żanetą z francuska zwaną, miała wzrost niski, kibić szczupłą i nadobną, oczy jasnego niebieskiego koloru, zasłonięte pięknymi złotymi rzęsami, pełne wyraz i dowcipu. Twarz okrągła, nos ładnie zarysowany cokolwiek zadarty, usta może za wielkie, lecz w przyjemny uśmiech łatwo się układały. Włosy ciemno złotego koloru, gęstością swoją i jedwabną barwą wiele uroku tej twarzy dodawały, zwłaszcza, gdy w gęstych puklach spadały na lica. Pleć mniej biała i przezroczysta. Lecz nic nie wyrównywało lekkości jej chodu, gracji w poruszeniach i w całym układzie, w towarzyskich kołach. Wtedy była prawdziwie nieporównywalna. Do tego uroku wiele się przyczynił talent do tańca. Wśród licznych bali i przyjęć, jakie odbywały się wówczas w Warszawie, Joanna zwróciła na siebie uwagę następcy tronu, Wielkiego Księcia Konstantego. Coraz to większe uczucie, jakim darzył Joannę Księżę najpierw jej obojętne później odwzajemnione. Trudno dzisiaj osądzić decyzję Joanny, czy kierowała się własnym uczuciem, ambicją, a może nadzieją, że swym wpływem złagodzi rozjuszonego „niedźwiedzia” i pozyska go dla kraju i rodaków”.

Na drodze do małżeństwa stanęły pewne trudności: Konstanty był już żonaty z Księżniczką Koburską Anną Teodorówną, z którą żył w separacji. Poza tym Konstanty żył stale z Józefiną Friedrichsową, z którą miał syna. Po uregulowaniu spraw

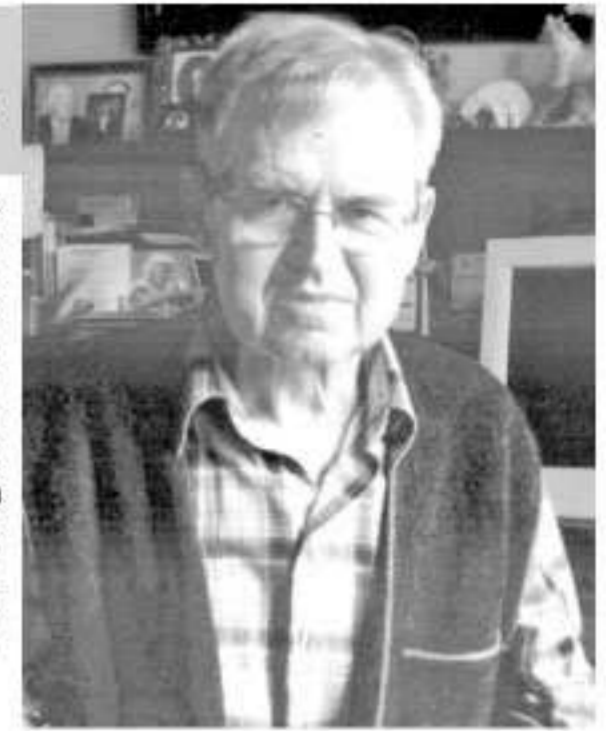


Portret Joanny Grudzińskiej.

Fot. Muzeum w Łowiczu

Józef Świątkiewicz*

Fot. Bogdan Ludowicz



rozwodowych i oddaleniu kochanki dwór petersburski zgodził się na małżeństwo z Polką, przy gorącej aprobachie matki Konstantego, wdowy po carze Pawle. Jednak Aleksander I zażądał od brata podpisania aktu zaręczającego, że gdyby były dzieci z tego małżeństwa, to nie będą miały prawa do tronu. Wreszcie 24 maja 1820 r. W. Ks. Konstanty Pawłowicz pojął pannę Joannę Nepomucynę Barbarę Grudzińską za żonę. Ślub odbył się na zamku warszawskim. Najpierw spisano cywilny akt ślubu, potem odbył się ślub według obrządku prawosławnego, następnie w kaplicy zamkowej udzielił sakramentu małżeństwa według katolickiego obrządku ks. Marceli Gutowski. W nie całe dwa miesiące po ślubie Joanna otrzymała tytuł Księżny Łowickiej.

*

Pierwszy okres małżeństwa nie był zbyt radosny dla Joanny z powodu intryg Józefiny Friedrichsowej. Pomogła jej dopiero skuteczna interwencja cara Aleksandra I przebywającego w Warszawie z okazji otwarcia sejmu. Przejrzał on stosunki panujące w otoczeniu brata, kazał Józefinie wyjechać „z polecenia lekarzy” za granicę. Pożycie Konstantego z Joanną uległo poprawie. Belweder, w którym mieszkali, cechował spokój i monotonia. Nie urządzano przyjęć, tylko nieliczni przejezdni dygnitarze lub zagraniczni książęta bywali na obiadach. Z bliskich znajomych Joanny nieliczne panie przychodziły na popołudniowe herbatki. Z najbliższych prawdopodobnie tylko ojciec raz odwiedził córkę w Warszawie. Również mąż trzeciej siostry Antoniny Dezydery Chłapowski z Turwi starał się jak najrzadziej bywać w ich domu. Jednak spokój i monotonia życia w Belwederze bywały coraz częściej pozorne. Wybryki nieokiełzanego wodza podczas rewii na saskim placu, w koszarach, na ulicach, jego mania prześladowcza, system szpiegowski, niesprawiedliwe wyroki sądowe - wszystko

to mąciło domowy spokój. Joanna nie mając żadnego wpływu na dzikie instynkty satrapy szukała ukojenia w bardzo ofiarnej działalności dobroczynnej, na którą czerpała środki z dość dużych dochodów płynących z Księstwa Łowickiego.

Kiedy w tajemniczych okolicznościach zakończył życie Aleksander i wiadomość ta dotarła do Petersburga, najmłodszy brat Mikołaj wysłał wiernopoddańczy list Konstantemu, udał się też do koszar gwardii, którą też zaprzysiągł na wierność Konstantemu. Nie znał bowiem tajnego dokumentu, w którym Konstanty zrzekł się tronu na rzecz Mikołaja. Na skutek tego nieporozumienia Konstanty był uważany przez kilka dni za cara Wszechrosji.

W listopadową noc 1830 r. po wybuchu Powstania Listopadowego Konstanty tylko przez przypadek uniknął śmierci. Ucieka do Wierzbna z żoną, która od tej chwili nie opuszcza swego męża. Joanna początkowo wykazuje wiele energii, ale słabnąc zapada na chorobę, która ją prześladowa. Nieoczekiwanie w Witebsku umiera Konstanty. Według doniesienia urzędowego na cholera, a według tradycji przyczyną śmierci miały być zatrute jagody.

Ten tragiczny wstrząs przywrócił Joannie na krótko dawne jej siły. Przez dwa miesiące towarzyszyła zwłokom męża w drodze do Petersburga. Po pogrzebie oraz dramatycznych rozmowach z carem Mikołajem, kiedy to obwiniła go za śmierć męża, załamała się. Przeczuywała swoją wczesną śmierć i jak mówiono - „podtrzymuje ją

tylko wiara w Boga”. Umarła w Carskim Siole 29 listopada 1931 r. Została pochowana w miejscowym kościele katolickim w obecności cara i następcy tronu oraz przy udziale licznych Rosjan i obecnych tam Polaków.

*

Wiosną 1928 r. gazety warszawskie podały wiadomość, że władze bolszewickie wzywają rodziny pochowanych w kościołach rzymskokatolickich w Leningradzie i Dietskim Siole (Petersburg i Carskie Sioło) do zabrania znajdujących się tam prochów ich przodków, grożąc złożeniem ich we wspólnym dole. Rodzina Chłapowskich zwróciła się do władz polskich o rozpoczęcie starań w sprawie sprowadzenia prochów Księżnej do ojczyzny. Po uzyskaniu stosownej zgody Konsulat w Leningradzie przystąpił do ekshumacji i repatriacji pozostałych szczątków. 6 kwietnia 1929 został odmurowany grób w obecności przedstawiciela konsulatu polskiego. Po otwarciu okazało się, że trumna, której nóżki z jednej strony się załamały, przechyliła się na bok i wieko jej zsunęło się i częściowo rozsypało w proch. Zwłoki zachowały się w stanie bardzo dobrym, były zabalsamowane. Na czaszce znajdowały się jeszcze gęste włosy skręcone w pukle. Zarzucony na twarz gęsty muślin pozwalał na określenie wieku kobiety. Ubrana była w białą jedwabną suknię z brabanckimi koronkami. Ręce skrzyżowane w białych rękawiczkach trzymały różaniec oraz dwa złote medaliki. Trumna z drewna była obciążona purpurową materią i ozdo-

biona brązowymi okuciami i zwisającymi frędzlami z połączonych nici.

Zwłoki Joanny wraz ze wszystkimi pozostałymi szczątkami, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, umieszczono w cynowej trumnie i szczelnie zalutowano. Trumnę wstawiono do drewnianego sarkofagu, który opieczętował przedstawiciel konsulatu i naczelnika administracji w Dietskim Siole. Sarkofag umieszczono w drewnianej skrzyni i 7 kwietnia 1929 r. wysłano do Polski. 8 kwietnia zwłoki zostały protokólnie przekazane w Stołpcach przedstawicielom rodziny Chłapowskich. 2 maja 1929 r. przybyłe do ojczyzny prochy Księżnej Łowickiej złożone zostały w Rąbinu w grobach rodziny Chłapowskich między trumnami jej sióstr - Antoniny Chłapowskiej i Józefy Gutakowskiej. Wraz z prochami Księżnej przywieziono granitową płytę nagrobną rozbity potem przez Rosjan w 1945 r. oraz bogato rzeźbioną metalową ramę.

Staraniem Krzysztofa Morawskiego grób Księżnej Łowickiej upamiętniono lastrиковą płytą. W tym roku z inicjatywy burmistrza Krzywina p. Pawła Buksalewicza lastrikowa płyta zostanie wymieniona na kamienną, godną osoby, która była blisko królewskiego tronu.

WK nr 3/1996

* Autor był wybitnym regionalistą, bibliofilem, kustoszem pałacu w Czempiniu, uznanym ekspertem i badaczem dziejów kościańskich rodów ziemiańskich m.in.: Chłapowskich i Morawskich. Zmarł w 2009 r. w Kościanie, pochowany został na cmentarzu parafialnym w Czempiniu.

Hotel na Poznańskiej ulicy

Dwa roczniki 1993, 1994 Wiadomości Kościańskich. Reportaże, szkice, wspomnienia, przyczynki, rzetelne prace historyków, krajoznawców, regionalistów. Bardzo wysoko należy ocenić szkice pani Magdaleny Łajszner. Dzieje dworów ziemiańskich w Kościańskim, dzieje starych rodów w mieście i okolicy. Solidna praca badawcza, żmudne szukanie informacji, umiejętne operowanie źródłami, penetrowanie w głąb, jakby zapuszczanie sondy do wnętrza pokładów faktologicznych. Na przykład prawdziwą perłą jest jedna z wielu prac pani Magdaleny, zatytułowana „Był taki hotel” (Wiadomości Kościańskie, kwiecień 1994)

Wracają, nie dają się usunąć z pamięci,

tamte ulice, tamte sprawy, tamci ludzie - kościańska laterna magica. I idziemy znowu spacerkiem po Wałach Żegockiego, nad czystą, niebieską wstęgą Obry, kwitną kwiaty na klombach wyczarowanych sztuką ogrodnika miejskiego p. Wawrzyniaka. Nie ma spalin i samochodów na Plantach, nie ma smutnych pieńków, żalonych pozostałości po wspaniałych drzewach oceniających niegdyś promenady, nie ma brzydkich mostków, al. Mostowej, uliczki Zacisze, nie ma wreszcie koszmaru, jakim długie lata niewoli położyły się nad moim miastem smugą cienia.

*

Hotel Warszawski... W historii

Adam Tomaszewski*

Fot. w zbiorach J. Zielonki



międzywojennego Kościana zajmuje ten hotel miejsce szczególne i specjalne. Od chwili odzyskania niepodległości odbywały się tu najprzeróżniejsze imprezy kulturalne, przedstawienia, koncerty, manifestacje narodowe. Był to w owych latach jedyny bodaj (może poza aulą gimnastyczną)

reprezentacyjny miejski „lokal”.

Jeśli już mowa o reprezentacji, to przede wszystkim bale karnawałowe w Hotelu Warszawskim. Wstęp na salę wymagał wydrukowanego na brystolu zaproszenia, co wywoływało niekiedy pomruki tych zapomnianych czy pominiętych. Tańczono do upadłego, świeża już i kosiarze Oriona zeszli na sam horyzont, a nad zastygłym korytem Obrę, w szpalerach oszroniałych drzew - ciągle jeszcze chodziły echa zadzierzwytych mazurów, na przemian z refrenami tang i walców angielskich.

Bawili się przedstawiciele warstwy ziemiańskiej z całego powiatu, referenci, wyżsi urzędnicy ze Starostwa, Izby Skarbowej, Magistratu, lekarze, adwokaci, inżynierowie, lokalni przemysłowcy, nauczyciele gimnazjalni, studenci poznańskiego uniwersytetu - miejscowa sól ziemi.

„Bale socjety”, mówiło o nich całe miasto, niekoniecznie spotykały się z aprobatą. Wielu ludzi czuło się onieśmielonych rzeczywistym czy wyimaginowanym splendorem („to nie dło nos”). No, bo jak? Z pewnością nie wpuszczono by na salę któregoś z kościańskich rzeźników, który zjawił się na pewnej kostiumowo-maskowej zabawie jako świnia. Miał na szyi wianki krakowskiej kiełbasy i nocnik z musztardą. Pokwikiwał, cwałował po sali, częstował hojnie kęsami wyborowej.

*

Most nad Obrą. Przy ulicy Poznańskiej. Któregoś roku przemianowano wprawdzie nazwę ulicy na Marszałka Józefa Piłsudskiego, ale większość mieszkańców po prostu nie przyjęła tego do wiadomości. Wstydliva do dziś sprawa, ale nie bardzo przed wojną kościaniacy kochali Komentanta...

Po lewej stronie (idąc w stronę Rynku) stała duża, okazała kamienica państwa Kaczorowskich, właścicieli sklepu z rowerami i akcesoriami. Pan Stanisław Kaczorowski, ojciec Irki, późniejszej doktorowej Łuczakowej i Stasia, harcerza z gimnazjalnej „Trójki”, należał w międzywojniu do znanych kościańskich kupców, będąc wieloletnim członkiem Rady Miejskiej.

Po drugiej stronie ulicy, w parterowym oknie piętrowego domu, widywało się w czasie długich letnich wieczorów dwojga starszych państwa, zajętych popularną przed wojną rozrywką kościaniaków - obserwowaniem przechodniów. To moi stryjostwo, znani niegdyś restauratorzy, rodzice kuzyna Edy Tomaszewskiego, lekarza w Zakładzie Psychiatrycznym.

Od rozwidlenia kanałów, od legendarnego dziś wiszaru zwanego „Cyplem” ramiona Obrę obejmowały miasto, płynąc

leniwym nurtem wśród płaczących wierzb i rozrostłych bujnie kasztanowców.

Wczesną wiosenną porą przyboru wód, korytem rzeczki rwała żółta, spieniona brudnymi pianami fala, rozlewająca się szeroko po łąkach, niekiedy wdzierająca się na Planty i promenady. Natomiast, kiedy zakwitły bzy i jaśminy, w okolicach Hotelu Warszawskiego Obrą płynęła malowniczym tunelem, pod nawisami zieleni, w otokach krzewów pełnych ptasich głosów i kolorowych plam motyli.

Tuż za ogrodami panów Lurca i Nowaka, po obu stronach mostu, Obrą zamieniała się w głęboką, może na stopę, płyczną wyslaną płaskimi kamieniami. Letnią porą buszowały pod mostem gromady młodocianych nadrachów, próbujących łowić rybi drobiazg, czyli „pitlejki”.

Dzikie harce skończyły się szybko, kiedy rozeszła się wieść, że jeden z chłopczków nadepnął na ostrą blachę czy szkło, rozciął nogę do kości i znalazł się w szpitalu.

*

„Impresje z parku Hotelu Warszawskiego. Pastel zrobiony na podstawie zdjęć i pamięci, na pamiątkę naszego miasta” przysłała mi pani Zofia Skorupińska z Opoła (dawna Zosia Owczarczak, córka jednego z właścicieli hotelu). A na obrazku wyczarowanym wspomnieniami, miłością, pamięcią serdeczną, niemal wszystko, co było, jak było. Budynek hotelowy, stoliki, kawiarenka, fontanna, muszla-podium dla orkiestry.

Letnim, niedzielnym popołudniem rojno bywało tu i gwarno. Rozkręcała się



Ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

zabawa latowa, dudniły kręglarskie kule, młodociane wyścigowce kicały w workach, posyłano do tarczy bolce z wiatrówki, cieszyła się powodzeniem loteria fantowa, podrygiwało w tańcu młodsze i nieco starsze pokolenie, dzwoniły kufle z piwem (że z grodziszem to wierzę, ale grodzisz z lemoniadą? Wątpię...).

Na korcie tenisowym wakacyjną porą grywało się z Helą Twórzówną, Irką Kokocińską, inżynierem Korusem, jednym z braci Guszczyńskich, kierownikiem sekcji tenisowej „Kościaniaki”, Marciniakiem. Dwa lata przed wojną zorganizowano turniej o mistrzostwo gimnazjum. Zdobył je niewątpliwie najlepszy tenisista „Hellady” Bogdan Tomaszewski, syn lekarza-dentysty.

Ogród czy park hotelu był jedynym z licznych w przedwojennym Kościanie rezerwatów zieleni, bywał też skrótem dla uczniów przemykających się po dozwolonej godzinie w ciemnościach Plantów ku bezpiecznym rejonom ulic Gostyńskiej czy Czempieńskiej. „Nie było możliwości przejścia z ulicy Moniuszki na Wały Żegockiego, cały teren hotelu był bowiem ogrodzony” - pisze pani Magdalena.

Otóż to nie tak, było nieco inaczej. Z ulicy Moniuszki (nie pamiętam, jak nazywała się przed wojną) po wąskim mostku przerzuconym nad ową strugą-ściekiem, którą później zasypano, wzdłuż siatki grodzącej kort tenisowy, wysypana żwirem promenada prowadziła do dwu mostków, które stosunkowo niedawno zniszczyła bezmyślność „ulepszaczy”. Wiodły przez owe mostki ścieżki Wałami Żegockiego ku Strzeleckiej i Wrocławskiej, wyprowadzały na Plac Wolności, promenadą obok Gazowni ku „laskowi”.

Co do ogrodzenia, była wprawdzie siatka, ale ograniczała tylko część terenu, park hotelu uważano za rodzaj pasażu służący głównie mieszkańcom ulicy Poznańskiej. Gwoli sprawiedliwości może i były dawniej zakazy, jakieś „zabrania się”, jakieś „zakazuje się pod karą grzywny”. Jak pamięć sięga, chodziło się przez Hotel Warszawski na szagę i już.

„...Zły los przerwał nasze sny...” Kto dziś pamięta „Habanerę” śpiewaną przez Wierę Gran? Zdartą, niemodną płytę wyrzuciono na śmietnik. Jedyne stare fotografie i pocztówki opowiadają o starym Kościanie.

W nowym, „lepszym” świecie to coraz słabszy głos z oddali. Les neiges d'antan - niegdyśjsze śniegi.

WK nr 6/1995

* Adam Tomaszewski – rodowity kościaniak, wybitny polski pisarz emigracyjny, autor licznych książek i artykułów - zmarł w 2002 r. w Kościanie, pochowany w Toronto w Kanadzie. Jest patronem Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Reportaż ze starego Kościana

Marian
Urbański*

Ze zbiorów J. Zielonki



Letnią porą około 1910 roku w sobotę wybuchł w firmie Plonsk (dziś ul. Szczepanowskiego na wprost mostu nad Obrą) groźny pożar. W firmie tej oprócz artykułów spożywczych i tak zwanych „kolonialnych” - stąd dawna nazwa takich sklepów „kolonialka” - jak i trunków itp. sprzedawano również artykuły łatwopalne, jak benzyna, nafta, i podobne. Magazyny firmy Plonsk były ilościowo dobrze zaopatrzone, bowiem okoliczni gospodarze w tym sklepie kupowali towary i naftę często przy tradycyjnym „kornusie” (szklaneczka wódki). Zwłaszcza w dni targowe ulica ta była zapchana wozami chłopskimi, a prowizoryczną liczbę chłopów można było policzyć z poustawianych pod ścianą sklepu różnego rodzaju batów końskich.

Ten sam obraz zauważyć można było przy pobliskiej restauracji p. Tomaszewskiego popularnie zwanym „Kościelnym” (z tytułu bliskości kościoła Pana Jezusa), oraz tuż za mostem przy restauracji „Obywatelskiej” p. Lurca, a po I wojnie światowej także przy Hotelu Warszawskim (naprzeciw restauracji Lurca). Domy te zostały rozebrane przez okupanta hitlerowskiego.

Pożarowa groźba

Dla zobrazowania niebezpieczeństwa rozszerzenia się groźnego pożaru dodać należy, że ul. Szeroka (dziś Szczepanowskiego) była aż do mostu na Obrze - której kanał do II wojny był o wiele węższy niż obecnie - gęsto zabudowana starymi budynkami i drewnianymi szopkami, krytymi papą. Ciasnota ulicy, oraz podobnych drewnianych składnic z zaplecza budynków przy Rynku, tworzących „trójkąt” do Rynku - w wypadku zapalenia się magazynu materiałów łatwopalnych - spowodować mogła nieobliczalny w skutkach pożar w samym centrum Kościana. Nastąpiło zahamowanie ruchu kołowego przez miasto, bowiem nie było innych ulic i mostów przejazdowych przez Kościan. Mimo ofiarnej pracy i wysiłków Ochotniczej Straży Pożarnej

(wówczas jeszcze konnej), pożar stawał się coraz groźniejszy i dopiero wspólnie z zawezwaną telefonicznie Zawodową Strażą Pożarną z Poznania zdołano pożar stłumić. Wtedy to po raz pierwszy kościaniacy byli świadkami akcji zmotoryzowanej straży z Poznania. W Kościanie jak i pobliskich wsiach jeszcze przez szereg lat, do gaszenia pożaru jechały w galopie, przy głośnym dzwonie na sikawce, konne wozy strażackie, do których wodę pompowano i równocześnie gaszono pożar ręcznie.

Zebrana po tym pożarze Rada Miejska mając na uwadze zagrożenie miasta postanowiła po zachodniej stronie miasta od strony Kiełczewa, pobrać ulice, które odciążąby ruch uliczny od głównych i jedynych przelotowych ulic śródmieścia.

Nowe ulice

W tymże 1910 roku naprzeciw kościoła Świętego Ducha stała stara chata handlarki Czajkowej, która w podwórzu w różnych drewnianych szopkach przechowywała na handel drób i króliki. Uchwałą Rady Miejskiej (proszę pamiętać, że to jeszcze okres zaboru pruskiego) chatę z szopkami wyburzono i rozpoczęto budowę tak zwanych „nowych ulic”, wyłożonych kostką (pokryte asfaltem w roku 1973), które w układzie jezdni do dziś dnia pozostały niezmienione. Prace brukarskie prowadzili bracia Szafrankowie, których zasługą było także przebrukowanie z „kocich łebków” innych ulic Kościana. Mieli ciągłą pracę przez szereg lat.

Aby przedłużyć przelotowość „nowych ulic” z Kiełczewa do rzeźni i obecnej Szkoły Podstawowej nr 1 i 3, pobrać na kanale Obry most betonowy o silnych łukowych przęsłach betonowych, połączonych też betonową belką. Między uczniami, którzy nowymi ulicami chodzili do szkoły konieczny był „spacer” po przęsłach mostu na bosaka. Nie wiadomo mi, aby który z tych „akrobatów” klapnął do Obry. Most wysadzono we wrześniu 1939 roku.

Drapacz chmur

Pierwsze budynki przy tych uli-

cach - patrząc od kościoła św. Ducha - pobrać m.in. obywatele: Ignacy Rex (pierwszy po lewej stronie), a po prawej trzypiętrowy „kościński drapacz chmur” pobrać inspektor szkolny Sowiński. Na początku obecnej ulicy Moniuszki budowali Niemcy - Vogel i inspektor szkolny Ernst. W domu Ernsta po II wojnie mieścił się Inspektorat Szkolny, a obecnie Przedszkole.

Przy końcu ul. św. Ducha Kątny pobrać piętrowy budynek za murem ogrodzeniem. W okresie międzywojennym mieszkał tam właściciel firmy „Plonsk” - L. Wenski, czynny społecznie w Kościanie, zwłaszcza w „Sokole”, rozstrzelany przez hitlerowców we wrześniu 1939 r., za zaginionego Labatzkiego, Niemca drugiego wspólnika firmy „Plonsk”. Obecnie dom ten bez zmian należy do spadkobierców Wenskiego. Dodać należy, że firma „Plonsk” w okresie międzywojennym miała składnicę swoich towarów w charakterystycznym budynku spichrzowym - o grubych murach - przy ul. Nadobrzańskiej, później Spółdzielnia Wielobranżowa.

W pierwszych latach po uzyskaniu wolności w roku 1919 ulice „nowe” nie były prawie zabudowane - zwłaszcza ul. Marcinkowskiego od Kiełczewa do mostu. Zabudowa tych ulic rozwinęła się w latach 20-tych, a dokończenie tej zabudowy, już w szybszym tempie nastąpiło po II wojnie światowej.

Czysta woda

W czasie, kiedy rozpoczęto budowę „nowych ulic” rozpatrywano również w Radzie Miejskiej bardzo pilną sprawę, zaopatrzenia miasta w czystą, pitną wodę. W owych latach w Kościanie były czynne cztery pompy

uliczne (nie licząc prywatnych): w Rynku, przy ul. Wodnej, za Obrą przy restauracji p. Lurca i na Poczcie, która była najzasobniejsza w wodę, i to czystą. Były to przecież lata, kiedy rozwożenie paczek po mieście odbywało się konno, w okresie międzywojennym także. W pierwsze ostre zimy po wojnie hitlerowskiej pompa ta była jeszcze czynna.

W stosunku do liczby mieszkańców, stale wzrastającej, cztery pompy nie wystarczały, więc dużo kobiet chodziło po wodę wprost do Obrzy z drewnianymi kubłami, lub blaszanymi „wymborkami” na nosidłach na ramionach, zwanych „szuńdami”. O niezbyt dużej czystości wody decydowało większe rozlewisko na Gurostwie, w którym pojono konie i bydło z majątku Kurzejgóry oraz od gospodarzy i „taka” woda płynęła dalej kanałem do miasta. Landrat pruski Madai, chcąc zlikwidować zwyczaj pobierania wody z kanału Obrzy, sprowadził z Wrocławia i Berlina rzeczoznawców, którzy zgodnie orzekli, że woda ta nie nadaje się do gotowania potraw.

I tu mały epizod. Kiedy komisja nad kanałem Obrzy omawiała tę sprawę, jakaś kobiecina nabrała z kanału wodę do „wymborków” i na „szuńdach” powoli niosła ją do domu. Na polecenie komisji przestraszona kobiecina, asystujący żandarm, wraz z wiadrami, zabrał do ratusza. Tamże kroplę wody umieszczono pod mikroskopem i kazano babince popatrzeć. Widząc pierwszy raz takie „cosik” zaczęła płakać i żegnać się, że tam diabła „obaczy”.

Wreszcie, kiedy jednak spojrzęła w mikroskop i zobaczyła, co się tam „kręciło”, to na wszystkie świętości wyrzekała się picia wody z Obrzy. Nic dziwnego, że w Kościanie wybuchwały epidemie, przy takiej wodzie. A co dziś znajduje się w „pachnącej” Obrze?

Wieża wodociągowa

Nowa uchwała Rady Miejskiej zdecydowała

budowę wieży wodociągowej w roku 1908 przy drodze do Pianowa. Budowę prowadził przedsiębiorca Jórğa, u którego pracował robotnik Juchniewicz. Tenże w czasie pracy przy wieży spadł z rusztowania i zabił się. Wieża wodociągowa jest wysoka 45 metrów i w górnej części posiada 25-metrowy zbiornik na wodę. Ponieważ wieża górowała nad miastem, woda własnym ciśnieniem dochodziła do 607 budynków Kościana. Pierwsza długość sieci wodociągowej wynosiła 12,5 kilometra, w tem częściowo rury

drewniane. Wodociąg był obliczony na dostarczenie dziennie 300 kubików wody dla miasta.

Woda była dobra, niestety źródła już się wyczerpały. Obecnie spełnia on rolę rezerwuaru wody z miejskich pomp wodociągowych, o ile taka okoliczność zaistnieje, bo na ogół Kościan - tak jak wiele innych miast - cierpi na brak wody, która to sprawa jeszcze nie znalazła - mimo poszukiwań - dobrego wyniku - źródlanej wody. Charakterystyczną cechą architektoniczną wieży są cztery małe dodatkowe wieżyczki u nasady właściwej wieży.

Czempińska i Grodziska

Wzdłuż szosy do Poznania pobudowały się domy ul. Czempińskiej (obecnie Poznańskiej), przy której domy i grunty po lewej stronie - do roku 1904 - należały do Kiełczewa, a po prawej do majątku Kurzejgóry. W tymże roku obie strony ulicy dołączono do Kościana. Podobne losy przechodziła ul. Grodziska. Większość domów przy ul. Czempińskiej pobudowali robotnicy powracający z robót w Niemczech. Charakterystyczną cechą obu ulic były rowy ściekowe, które przy ul. Czempińskiej zasypano - po uprzednim skanalizowaniu - w latach 20-tych, a przy ul. Grodziskiej dopiero w pierwszych latach PRL. W okresie międzywojennym, przy końcu ul. Czempińskiej był czynny wiatrak zbożowca Kostańskiego, mieszkającego przy ul. Czempińskiej - potem sklep żelaza GS.

Wróćmy do miejsca, skąd rozpoczęto budowę „nowych ulic”, czyli do kościoła Świętego Ducha. W wyobraźni naszej - cofając się do początków XX wieku - widzimy przed sobą w stronę wodociągu - bity trakt, częściowo i „kocie łebki”, z którymi uporały się w następnych latach bracia Szafrankowie i wybrukują znowu mocną jezdnię. Lewą stronę tego traktu zajmowały przeważnie sady i nieliczne domki kryte papą. Z tych



Droga do lasku.



Ulica Świętego Ducha



Most nad Obrą

Pocztówki (3x) w zbiorach
Muzeum Regionalnego
im. dra Henryka Florkowskiego
w Kościanie

„stulatków” zachował się częściowo dom p. Bajona (przy obecnej ul. Piłsudskiego - przyp. T.J.). To lewa strona traktu.

Na Złym Dole

Tuż za kościołem św. Ducha znajdujący się szpital przebudował w 1903 r. budowniczy Izakiewicz, Niemiec i ewangelik. Za szpitalem, do narożnika obecnej ul. Gostyńskiej, znajdowało się bagnisko zwane „Złym Dołem”, które istotnie pochłonęło kilka istnień ludzkich - stąd nazwa. Mało jest już w Kościanie obywateli, którzy chodząc z tabliczką i rysikiem do szkoły w Kiełczewie (taki był przydział dla dzieci ul. Grodziskiej i pobliskich), wspominają sobie, jak to zimą zjeżdżało się na torbie, lub wprost „na czymyku” po zboczach Złego Dołu.

Ulica Grodziska przynależna wówczas do Kiełczewa, była zwykłą polną drogą, jak i też dzisiejsza ul. Gostyńska. Zabudowa tej prawej strony ulicy, nazwanej ul. Madaia (dziś - Piłsudskiego), landrata - inicjatora budowy nowych ulic, wodociągu i realizacji kanału Obry, zaczęła się mniej więcej w ostatnich latach XIX wieku, bowiem dziś jeszcze na kilku budynkach przy tej ulicy widnieją daty 1898 roku. Później ulica prawie całkiem już zabudowana otrzymała nazwę Poznańskiego Przedmieścia.

Pierwszymi inicjatorami zabudowy tej ulicy, po zasypaniu „Złego Dołu”, oddrenowaniu wody do Obry na odcinku od kościoła do ul. Gostyńskiej, byli obywatele Ginter i Ludwik Abt, stolarz, którzy za pożyczki z Banku Ludowego, wspólnie z budowniczym Włoszkiewiczem stawiali domy; prace stolarskie i ciesielskie wykonał Abt. Budowę rozpoczęto od narożnika ul. Gostyńskiej. Gotowe budynki, w okresie dwóch lat sprzedawali, spłacając równocześnie kwartalne raty w Banku Ludowym. Podkreślić tu trzeba patriotyczną akcję Banku Ludowego, który przez niskoprocentowe pożyczki i dogodne spłaty umożliwiał Polakom budowę domów, zakładanie warsztatów itp. podtrzymując tym sposobem zwartą polskość wśród rodowitych kościaniaków. Prezesem Banku Ludowego był wielki patriota ks. prałat dr Józef Surzyński, znany reformator muzyki kościelnej oraz kompozytor polskich

pieśni na chór i orkiestrę.

Kto się wybudował?

Pierwsze wybudowane domy kupili ob. ob. Palacz, Banaszak, Fellmann oraz Biernacka primo voto Maćkowiak. Domy te do dziś dnia są funkcjonalne w dobrym stanie, biorąc pod uwagę rok ich budowy. Dalszą część - do kościoła św. Ducha na podobnych warunkach zabudował i sprzedał brukarz Karol Szafranek.

Na narożniku ulicy Gostyńskiej (dziś biura GS) wybudował się handlarz zboża Żyd Juliusz Majer, któremu polską konkurencję przeciwstawił także kupiec zbożowy Plewczyński (trzeci dom od narożnika ul. św. Ducha). Konkurencję prowadzili ostrą, bowiem tak Żyd Majer, jak i Plewczyński mieli swoich agentów, którzy ściągali chłopów ze zbożem do swoich sklepów. A chłopci - tak jak przy sklepie Plonska - stawali z wozami za narożnikiem przy restauracji Sylwestra (później syna Kazimierza) Szyftera. Dom ten - też już w latach około 100-tki - jeszcze stoi, obecnie mieści się w nim sklep mięsny.

„Wesołe Miasteczko”

Za restauracją Szyftera, stała tylko kuźnia. Te dwa budynki jeszcze kilka lat po wyzwoleniu 1919 r. były zaczątkiem ul. Gostyńskiej. Ulica ta jeszcze po 1945 r. była zwykłą szosą z latówką, mimo dość silnej zabudowy tego osiedla między szosą a wodociągiem, zwanym w okresie międzywojennym popularnie „Wesołym Miasteczkiem”. Pierwszy budynek w latach 20-tych przy ul. Gostyńskiej postawił Klupsz. Dom mieszkalny stoi do dziś, ale tartak, równocześnie wybudowany za mieszkalnym budynkiem, po kilku latach spalił się doszczętnie, a wraz z nim blisko położona szopa z beczkami smoły dekarza Bajona. Ponieważ palące się obiekty były dość oddalone od domów Poznańskiego Przedmieścia, groźny i gwałtowny pożar nie rozszerzył się. Przyczyny pożaru nie zostały ustalone.

Mimo panującego bezrobocia i 3-dniowego tygodnia pracy w Monopolu Tytoniowym dalszą zabudowę przy tej ulicy i w stronę wodociągu, prowadzili przeważnie murarze i pracownicy Monopolu, budując najczęściej domy jednorodzinne. Nazwę „Wesołego Miasteczka” przyczepiono do tej

dzielnicy miasta w nawiązaniu do istniejącego na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu rozrywkowego Wesołego Miasteczka i to jakoś się utrzymało. Całkowita zabudowa (z nielicznymi wolnymi jeszcze parcelami) oraz wytyczenie ulic, jak i budowa nowoczesnej Szkoły Podstawowej nr 4, to już ostatnie lata. Że dzielnica ta jest gęsto zamieszkała świadczyć może m. in. fakt, że tylko ul. Żwirki i Wigury liczy ponad 100 numerów, a ulic tam jest kilka.

Kupieckie firmy

Wracamy jednakże na narożnik ul. Gostyńskiej. Do Szyfterów należała też, dziś używana jako magazyn, obora na narożniku ul. Czempieńskiej (dziś Poznańskiej), bowiem w okresie międzywojennym Szyfterowie handlowali także bydłem. Konkurencja między Żydem Majerem a Plewczyńskim zakończyła się po kilku latach zgonem Majera, a żona tegoż wyjechała do syna lekarza w Berlinie. Placówkę tę przejął Polak Kaźmierczak Władysław, też konkurent Plewczyńskiego. Robiącego na dostawach do wojska dobre interesy, uważano zbożowca Kaźmierczaka za jednego z najbogatszych kupców Kościana. Prowadził wystawne życie i wydawał liczne przyjęcia. Jednakże po kilku latach dobrobytu w oswobodzonej Polsce, coraz częstsze niepowodzenia na giełdzie zbożowej w Poznaniu, i inne związane z tym straty, spowodowały całkowity upadek tej firmy. Okres dewaluacji w 1924 roku przyniósł wiele kolejnych upadków większych firm, zwłaszcza zbożowych, m.in. także zbożowca Karola Swobody przy ul. Nadobrzańskiej 8, którego żona była bardzo czynną w PCK jako prezeska.

WK nr 8-9/1994

* Redaktora Mariana URBAŃSKIEGO - niestety nie ma już wśród nas. Zmarł w 1993 r. w Kościanie. Jego nazwisko kojarzy się z „Gazetą Polską” - przedwojennym dziennikiem o ogólnokrajowym zasięgu i orientacji katolicko-narodowej. Pozostawił po sobie wdzięczną pamięć kościaniaków i nieliczne - co z żalem trzeba powiedzieć - wspomnienia. Publikujemy reporterskie zapiski Mariana Urbańskiego o starym Kościanie. Powstały one w 1971 r. z inspiracji - co wyraźnie podaje autor - ówczesnego prezesa TMZK dra Henryka Florkowskiego i wiceprezesa - red. Jerzego Zielonki. (-)

Tadeusz Jąder

Idę do Ciebie Ojczy

Eugeniusz Wachowiak*



Fot. w zbiorach J. Zielonki

Zdarzyło się, że miałem zaszczyt spotkać się z panem Eugeniuszem Wachowiakiem - znanym poznańskim pisarzem i tłumaczem. Ostatnio zaś zdarzyło się, że zaszczylił mnie propozycją poczynania starań o wykorzystanie w kościańskiej prasie jego pełnego refleksji zapisu odtwarzającego obrzęd, któremu, co zrozumiałe, zwykle towarzyszy ból. W korespondencji do mnie pan Eugeniusz Wachowiak na coś innego jednak zwraca uwagę: „Dla tak godnego pogrzebu warto umierać, chciałoby się rzec.” (Pogrzeb ów odbywał się w WILKOWIE POLSKIM w pobliżu Wielichowa). Starania czyniłem myśląc, że ta piękna literacka relacja wprowadza treścią w wymiary najwyższe... (-) **Tadeusz Hofmański**

Nad rozpogodzonym obliczem brata Ludwika Anioła Śmierci ustąpił miejsca Aniołowi Dobroci. Czułem go niemal namacalnie w tej izbie z rodziną skupioną w cichym rozważaniu. Jeszcze tylko po ścianach błakają się różańcowe zdrowaśki, na które pod wieczór zbierała się wieś stojąca teraz półkołem na podwórzu pomiędzy domem a stodołą, z Różami dzierżącymi w dłoniach świece i strażakami w galowych mundurach...

Ktoś mnie z lekka popychał przed trumnę, abym pożegnał naszego brata Ludwika, zanim go z domu wyprowadzą. Przystanąłem u wezłowania, najpierw to się modląc wpatrzony w doczesne szczątki, z których emanował spokój po dobrze spełnionym obowiązku wokół siebie i gromady, potem zaś kontemplując twarz zmarłego z nosem orlim i zapadniętymi ustami, zaczesane rzadkie płowe włosy, twarz drobną, jakby przeciwną dużym czystym dłoniom urosłym tak od niestrudzonej pracy, ale nie zaniedbanym, ze wszystkimi palcami u rąk. Snać brat Ludwik wykonywał swe prace zawsze przytomnym umysłem i z przystojną czynnością rozważa. Spowijał te dłonie różaniec pobłogosławiony w złote gody, o dziwo, jeszcze przez kapłana, który wiązał stułą dłoń siostry naszej Anny z naszym bratem Ludwikiem.

Siostra nasza Anna, a od trzech dni wdowa, siedzi skromnie na krześle w woalce nad czołem i w płaszczu gotowa by go odprowadzić.

Role się zmieniły, bo kiedy przed laty jechali do kościoła, on często czekał na nią w bryczce, zanim do niej wsiadła.

Przy drzwiach dwaj synowie, jeden z sumiastym witosowym wąsem, zamozny sołtys na wielu hektarach i drugi kruczowłosy z bliskiego miasteczka.

Przybył ksiądz dobrodziej, ale trumnę przed opuszczeniem domowej zagrody ustawioną wśród wieńcy na platformie żuka, pokropiła Róża z Żywego Różańca. I ruszyła sprzed domu długa kawalkada drogą wśród pól i lasów aż do wsi kościelnej, gdzie czeka odziany w gotycką cegłę niebanalny kościół. Czekają także dzwony, krzyż procesyjny i żałobna chorągiew. Kondukt nabiera porządku. Otdąd już na nogach. Strażacy brata Ludwika wezmą na ramiona i wniosą na dobre miejsce przed same balaski. Różę zajmują skrajne miejsca w ławach i świec szpalerem jasnym brata adorują. Światła jest nad podziw także w prezbiterium jakby sam Duch Święty pragnął się ukazać. Oto wieś cała pragnie, by brat Ludwik stając oto przed Stwórcą wyblagał łaski pożyteczne także dla gromady. On przecież godnym wsi swej pośrednikiem.

Msza się rozpoczyna, proboszcz w czarnym ornacie, zawodzą organy i żałobne pienia. Słychać huczenie miechów przy kalikowaniu.

„To nie był przeciętny parafianin”, przemawia duszpasterz, jeszcze ciepłą ręką złożył ofiarę na budowę kaplicy i miał to szczęście, że przytomnie przyjmował Ostatni Sakrament”. I na pociechę dla nas: „Cieszymy się najmilsi, że żyjemy, dziękujemy Bogu za każdy dzień życia, bo nie wiemy, kiedy Pan zechce nas do siebie powołać. Amen”.

Obchód wokół ołtarza z piękną kolektą i ucałowaniem relikwii na zwieńczeniu krzyża wycieranego wciąż białą chusteczką.

Ale brat Ludwik nie przybył spocząć tutaj. Zawsze czekała na niego

ta spragniona ziemia, a kiedy go od niej oderwała wojna, uprawiała ją siostra nasza a jego żona, Anna. Ziemia czeka na niego i dzisiaj, a dzień jest wilgotny, chłodny, szargający wiatrem, więc wzywany cmentarną sygnaturką spieszy na wzgórek brat Ludwik pod wysmukłą brzozę, która będzie mu szumieć wiejską kołysankę, tylko jej listki muszą się zazielenić, tylko nabierze w nie melodię i załka...

11 kwietnia 1991
WK nr 6/1994

Maciej Sterna z Chelkowa

Z Karmina do Chelkowa wracałem (a było to przed wojną, tą drugą) na piechotę drogą wybrukowaną kocimi łbami, prowadzącą pośród lichych jabłonek, ale nie po tych kocich łebkach, tylko ścieżką obok latówki. Wracałem ze składu, z kramu jak mawiano we wsi, z knotami do naftowej lampy, pastą do trzewików i mydłem „Jeleń - Schicht”.

Gdzieś tam pośrodku tej kilometrowej drogi przemykałem przez Biały Dołek, wcale nie widoczny jako jakiś dołek, a jedynie nazwa czegoś, czego tam wcale nie było, nie było widać, przynajmniej na oko, zaś o północy nigdy tamtędy nie przechodziłem, kiedy być może coś się tam jednak upiornego działo. Natomiast, gdy spytałem dziadka Macieja, dlaczego do Karmina idąc, idzie się przez Biały Dołek, dziadek mi odparł, że to raczej górka, pagórek, tak właśnie zwany, który przed paroma wiekami był zbiorową mogiłą wymoszczoną wapnem (stąd ta nazwa „Biały”), aby się zaraza nie pleniła i żeby morowe powietrze żywych nie trafiało, bo to ono zapełniło ów śmiertelny dół zwłokami chłopów, bab i dzieciaków. A może nie była to mogiła umarłaków grzebanych za

wsią, ale grób Szwedów czy też innych żołdaków. Kto to teraz wie.

Maciej Sterna pożegnał się z tym światem po znośnie przepracowanym życiu przy lokomobili, w Chełkowie, w dzień Św. Barbary, roku pańskiego 1949, w którym ja, jego pierworodny wnuk, miałem ukończyć lat dwadzieścia.

Z domu oddzielonego od wioski, aleją kasztanowców trumnę wieziono na bryczce połą drogą wyboistą i piaszczystą, która za wsią, na rozstaju z krzyżem, z początku wspinała się lekko, a potem już po równinie biegła ku cmentarzowi w Wonieściu. I było coś dziwnego w tym, że wtedy, kiedy on z boku na bok kołysał się spokojny w tym pudle, nie było mi go tak żal, jak dopiero po latach. Nie ma więc pożegnania bez żalu, tylko że czas, w którym on nas ogarnie, nie my wybieramy, lecz on sam. Taki już jest ten żal, taki jego przywilej i samopoczucie. Zupełnie jak smutek.

Maciej Sterna przyszedł na świat w dniu 23 lutego 1878 roku, w rodzinie stangreta, w Sokołowie, w ówczesnym powiecie śmigielskim, zaś stangret to był już we wsi ktoś, o czym wiem od baronowej Jolanthe von Brandenstein: nosił liberię, rękawiczki, wyglansowane buty z cholewami, paznokcie czyste; wygolony i ostrzyżony, czasem mógł zamienić kilka słów z baronówną. Konie powierzano mu najprzedniejsze. Obowiązywała go dyskrecja. Mieszkał tam gdzie ogrodnik, włodarz i mechanik. Stangretem w Sokołowie był Wojciech, ojciec Macieja, a mój pradziadek, którego niestety nigdy nie widziałem.

Sterna. Nazwisko niepodobne do spotykanych w okolicy: Glapiaków, Ławniczaków, Mikołajczaków, Ratajczaków czy Wojtczaków. Taki sobie sam dla siebie osobny: Sterna. Staronordyckie: stjarna, albo szwedzkie: stjarna, a po polsku: gwiazda.

Szwecja w swej historii miała przynajmniej kilku mężów stanu, a także poetę, których nazwisko brzmiało Oxenstierna, zaś jeden z nich Axel, był w XVII wieku kanclerzem i doradcą Gustawa Adolfa, towarzyszącym swemu monarsze w wyprawach na Polskę. Więc pomyślałem sobie, iż te sterny to nic innego, jak woje spieszone

w szwedzkim ordynku albo ciężkie rajtary, czyli owe niezliczone szeregowy „Gwiazdy”, z których tu i ówdzie jakaś tam, z woli przeznaczenia pozostała w Wielkopolsce i tu się zakorzeniła. I stąd ów Maciej Sterna, mój dziadek po kądzieli.

Inny ciekawy zbieg okoliczności: Oto Michał Skarzyński, właściciel Chełkowa (zmarły tamże w 1887 roku) miał córkę Marię, która wychodząc za mąż za Aleksandra Kruzensterna z Niemierowa, wniosła mu między innymi w posagu Chełkowo. Czy ów Aleksander miał coś wspólnego z admirałem Adamem Johannem von Krusensternem urodzonym w 1770 r. w Estonii, który pod banderą rosyjskiego cara Aleksandra I opłynął świat. I czyż owe dwuczłonowe nazwiska o pierwszym członie zmiennym wywodzącym się z przymiotu i drugim członie stałym (stierna, sterna, stern itp.) określają jakąś wspólnotę?

Sternowie to ród maluczki, ale żyjący godnie, pobożnie i uczciwie. A dowód? Jest i taki. Oto w papierach po moim dziadku Macieju znalazłem jako żywą referencję:

„Na żądanie udzielam maszyniście Sterna, świadectwo, iż tenże od roku 1904 do incl. 1914 pełnił obowiązki maszynisty, ślusarza i kowala na majątku Chełkowo i Karmin pod moją wyłączną dyrekcją. Przez cały ten czas był bardzo pilny, trzeźwy, sumienny i uczciwy. Wszelkie reparacje wchodzące w zakres jego zawodu

wykonywał bardzo sumiennie i szybko. Życzę mu przeto z całego serca, aby był swój polepszył i osiągnął to, do czego w przyszłości dąży. Dnia 21 marca 1924 r. Aleksander Mieleszyński, dawniej dyrektor majątków śp. Witolda Skarzyńskiego w Sławiu, a od roku 1916-go właściciel Okolewa p. Biedrusko, powiat Wschodnio-Poznański”.

I opatrzone ów dokument, który jakby co dopiero inkaustem pisany, „stęplem okrągłym”. Też bym pragnął zasłużyć na takowe poręczenie, lecz poczekamy, zobaczymy, jak mnie w księdze żywota zapisze Anioł Stróż.

Opinia niniejsza mogłaby sugerować, iż Maciej Sterna pragnąłby zmienić miejsce pracy, ale nic podobnego nigdy nie nastąpiło, także w czasie okupacji, kiedy to na tablicy z nazwą miejscowości pojawił się czarny napis na żółtym polu: Rittergut Kelke.

Młynarzewo, fragment Chełkowa, miejsce, gdzie stał chyba za wsią wiatrak, a później postawiono dom mieszkalny z czerwonej cegły (także z cegłą zamiast podłogi, posypywaną miałkim piaskiem w kuchni) dla maszynisty, mechanika z gorzelnii w Karminie i kołodzieja, a zatem jeden dom dla trzech rodzin, jak się rzekło, murowany z przydomowym ogródkiem pełnym astrów i pelargonii w oknie, podczas gdy chałupy ludzi „spod pana”, z których składa się wieś, świeciły pobielanymi ścianami z gliny, pokryte trzciną, z chlebowym piecem dla całej wsi, za rowem.

Na Młynarzewie stała jeszcze chata zwana lamusem. Nie było to za mego dzieciństwa ani składowisko narzędzi, ani też noclegownia dla sezonowych. Za mojej pamięci mieszkali tam dwie rodziny, ale moje ciotki zabraniały mi się bawić z dziećmi z lamusa. Zresztą o ciotkach nie szczędzących mi zakazów i nakazów, kiedy indziej i chyba w innym miejscu.

Wspomnę jeszcze tylko to, że sąsiadujący z nami kołodziej, czyli „wuja stelmach”, był szwagrem mojego dziadka, którego nie bardzo lubiłem, bo był jakiś taki wielki i surowy, i jak mi się zdawało, spoglądał na mnie zza oprawionych w drut szkielek, jak byk na małą pyrkę”. Nie lubiłem też jego żony, ciotki stelmaszki, jakiejś takiej ironicznej i przemądrzałej.



Dokument ze zbiorów autora tekstu

Pozwolę sobie jeszcze przytoczyć (również w oryginalnym brzmieniu) treść tak zwanego kontraktu czyli umowy o pracę zawartej pomiędzy administratorem dóbr a Maciejem Sterną, ponieważ ustalenia owego kontraktu wydają mi się dziś wyjątkowo rygorystyczne.

Oto on, w paragrafach:

Par. 1 - Maszynista Sterna obowiązany jest prowadzić (lokomobilę) i młocarnię podczas młócenia, rżnięcia siewki i śrutowania, dbać o porządek wraz z młocarnią (i lokomobilą) oraz wykonywać wszelkie reperacje przy wspomnianych maszynach. W czasie młocki, rżnięcia siewki lub śrutowania, obowiązany jest maszynista zawczasu (przed apelem) już przygotować maszynę do tego, aby ludzie nie potrzebowali czekać. Par. 2 - Maszynista obowiązany jest wykonywać wszelkie prace (reparacje) szybko i sumiennie oraz z wielką oszczędnością żelaza i węgla: żelazo i węgle dostarcza dwór. Wszystkie maszyny muszą być zawsze w najlepszym porządku utrzymane. Par. 3 - Prowadzenie maszynisty musi być moralne i trzeźwe, a posłuszeństwo wymaga się na każdym kroku. Par. 4 - Nie wolno pod surową karą wykonywać żadnej pracy obcym ani swoim ludziom bez pozwolenia administracji. Par. 5 - Napisany i skreślony. Par. 6 - Dochód maszynisty normuje się podług kontraktu taryfowego, oprócz tego pobiera maszynista Sterna tantjemę od każdego centnara omłóconego zboża, która normuje się podług cen zboża....W razie potrzeby obowiązany jest maszynista przybyć do młocki (do maszyny) w Polesiu i Spławiu, za co dostanie osobne wynagrodzenie (gratyfikacje). Maszynista może trzymać krowę we wspólnej oborze, przez Zarząd Majętności przeznaczonej; nie wolno jednakże pod surową karą trzymać: gęsi, kaczek, kóz i gołębi. W razie nietrzymania krowy pobiera maszynista 4 litr mleka dziennie tłustego i 3,5 litr odtłuszczonego. W razie odtłuszczonego mleka nie starczy, pobierać będzie gotówkę. Jeżeli maszynista będzie trzymał dwie kozy natenczas normuje się pobierane mleko. Maszynista Sterna ma narzędzia potrzebne

do prac (rozp. reperacji) własne. Chełkowo, dnia 30 grudnia 1922
Podpisy: administratora dóbr i Macieja Sternę. Pieczęć: Administracja Dóbr Spławskich, p. Bojanowo Stare, powiat Śmigieński, tel. 4730.

Dziadek nie miał krowy, dwóch kóz, ani też jednej. Nie miał gęsi, kaczek, gołębi. Miał natomiast w chlewiku dwie świnki i kotkę białą z żółtymi i czarnymi łatkami, na którą wołano Miluś.

Dziwią dzisiaj rygory dotyczące kóz oraz ptactwa, a także obowiązek posiadania własnych narzędzi. Nie wspomina się natomiast nic o urlopie, odpowiedzialności za wypadki, odzieży roboczej. Jak się: to czasy zmieniają. A o związkach zawodowych ani mru, mru.

Dzyń dzyń dzyń na pańskie gałgany gałgańskie. Z pańskiego domu dostaniecie po złotemu.

Oto z lekka kpiarskie słowa plebejskiej śpiewki, słowa do dźwięku sygnaturki, małego dzwonu zawieszzonego na dworskiej wieżycy w podwórzu, słyszalnego we wsi i na polach, zaś odgłos oznajmiał godziny rozpoczęcia, przerwy obiadowej i zakończenia pracy. Dzwon poranny obwieszczał godzinę, w której owe „gałgany”, czyli robotnicy rolni zatrudnieni w majątku (czyli „na pańskim”) powinni przybyć „na apel”, gdzie wódarz przydzielał ich każdego dnia do pracy.

Jak zaznaczono w kontrakcie zawartym z Maciejem Sterną, on sam, maszynista, powinien już czekać na przybycie ludzi do młockami, z maszyną gotową natychmiast do pracy. A

zatem, aby w niej rozpać i uzyskać parę uruchamiającą młocarnię z lokomobili Maciej Sterna musiał co najmniej o czwartej rano, a niekiedy i wcześniej, wstawać. W pokoju, w którym dziadzia (bo tak się wtedy do niego mówiło) spał, wisi zegar z napisem „Becker”, z orłem na pokrywce, wybijający godziny, ale dziadka budził wiejski stróż nocny stukaniem do okna i wołaniem: „Majster, czas wstać!” Słyszałem i ja to wołanie i nawet teraz, kiedy nikt w moim pokoju do okna nie stuka w wielkim mieście na trzecim piętrze, to i tak budzę się o tej godzinie, rannej godzinie dziadka Macieja i zanim zmówię za niego „Wieczny odpoczynek”, znów spokojnie zasypiam. On natomiast po tej pobudce ruszał w mroku do swojej lokomobili, której nie zawiódł niemal przez półwieku.

Ciotka posyłała mnie do dziadka ze śniadaniem w koszyku. Niosłem mu przykryte białą serwetą skibki chleba, duże, bo chleb, który raz w tygodniu przywoził piekarz Rajewski z Karmina, ważył sobie sześć funtów. W koszyku była również kromka chleba dla mnie, żebym na jedzącego dziadka łakomie nie patrzył i kawa z mlekiem dla obu. Kiedy dziadek posilał się w milczeniu, zdjąwszy czapkę z głowy, jako że chleb to dar Boży, w słusznej odległości od ludzi, był umorusany jak kominiarz i pachniał smarem, oliwiarką, ciepły od lokomobili i rozżarzonego paleniska. Lokomobila miała również chwilę wytchnienia, lecz ja wołałem ją widzieć w ruchu, kiedy snuł się dym z wysokiego komina, kręciło się koło z nawiniętym na nie parcianym pasem przenoszącym napęd na młocarnię i coraz szybciej, jak opętane, obracały się dwie czarne bile, jak dwie panienki w szalonym tańcu. To było naprawdę coś. Dziadek, gdy tylko się posilił i popił kawą, obtarł dłonią wosą, spojrzał na mnie dobrotliwie i rzekł: „No idź już chłopcze, idź...”

WK nr 6/2000



Autor z dyrektorką Jadwigą Czarną.

Fot. Teresa Mastowska

* Eugeniusz Wachowiak – poeta, autor prozy refleksyjnej i wspomnieniowej, tłumacz literatury kręgu niemieckiego – urodził się w Lesznie, mieszka w Poznaniu. Jest ojcem pisarza Sergiusza Sternę Wachowiaka.

„Muzykalne” dzwony kościańskiej Fary

W Muzeum Regionalnym w Kościanie trwała w marcu br. wystawa poświęcona historii naszego miasta. Wśród znakomicie prezentowanych i opisanych reliktywów naszej przeszłości znalazłam dwa zdjęcia przedstawiające dzwony.

Napis objaśniający głosił:

„Dzwon „Assumpta” z kościoła farnego w Kościanie, poświęcony Matce Boskiej Wniebowziętej, Patronce Kościoła. Ułany w roku 1505, przelany 1895. Ważył 75 cetnarów, ozdobiony pięknie modelowym obrazem Matki Bożej Wniebowziętej oraz napisem łacińskim (w tłumaczeniu): „Święta Maryjo, Królowo Niebios utwierdź w nas pokój i módl się za nami”. I dodatkowa uwaga: „W lipcu 1917 roku dzwon ten zabrany został na cele wojenne wraz z dwoma mniejszymi”. Zwiedzający mógł zobaczyć na osobnym zdjęciu potężną „Assumptę” a na drugim obok - ten sam dzwon w asyście dwóch mniejszych.

Moje zaskoczenie tymi zdjęciami - i wielką radością, że mogłam te historyczne dzwony zobaczyć było spowodowane faktem, że właśnie tydzień przed tą wizytą w Muzeum otrzymałam list od urodzonej Kościanianki, a obecnie mieszkanki Wejherowa p. Władysławy Kurowskiej, w którym pisze następująco:

„...Mam wspomnienie z mego dzieciństwa, gdyż doskonale pamiętam Ks. Prałata (dr Józefa Surzyńskiego - dop. K.W.) za jego życia. Miałam 10 lat - byłam na jego pogrzebie(...) Pamiętam też, kiedy w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy zabierali 3 dzwony z Kościoła Farnego na cele wojenne. Kiedy dzwony różnej wielkości były ustawione na platformie, ktoś zrobił zdjęcie pocztówkowe, a ludzie płakali. Ks. Prałat wyjechał specjalnie z Kościana, gdyż nie mógł tego faktu przeboleć. To były dzwony specjalnie przez Niego zamówione i tak ulane aby razem grały trójdźwięk. Nie chciał tej profanacji oglądać, więc wyjechał, bo pewnie też by się popłakał. Ten trójdźwięk dzwonów stroił z pieśnią śpiewaną podczas rezurekcji a napisaną przez Księdza Prałata na 6 głosów.

Chór śpiewał ją zawsze przed uroczystą procesją rezurekcyjną: GLORIA TIBI TRINITAS...Śpiew chóru był doskonale zharmonizowany z biciem tych dzwonów. I dlatego Ks. Prałat był taki rozżalony, kiedy te dzwony szwaby zabierały na cele wojenne”(...)

Tyle fragmentów z listu mej korespondentki. A teraz wypowiedź samego Ks. Prałata Surzyńskiego, którą opublikował w „Muzyce Kościelnej” z 1896 nr 4 i 5, którą pozwałam sobie w fragmentach zacytować - aby współczesnym czytelnikom przedstawić historię tych dzwonów:

„Zastałem w kościańskiej farze trzy dzwony. Największy z nich był pęknięty. Ażeby umożliwić wydobycie tonu, wywiercono przed kilku laty nad końcem pęknięcia dziurę wielkości jednej miarki i wypitowano od niej począwszy aż na sam brzeg dzwonu pas szerokości palca wskazującego, Pomimo to brakowało mu czystości i pełności tonu i tylko w jedną stronę weń uderzać było można, Ważył 52 ctr. i 14 funtów. Ulał go Jakób z Płoszna w 1505 r. Dzwon ten pamiętał dawne zygmontowskie czasy. Był najstarszym dzwonem w naszej archidiecezji. Ułany był z wyborowego spizu i miał prześlizne średniowieczne żebro.



Ks. prałat Józef Surzyński
- reformator polskiej muzyki sakralnej.
Fot. w zbiorach J. Zielonki

Krystyna Winowicz*

Fot. Bogdan Ludowicz



Napis na nim brzmiał: „Królu chwalebny przyjdź z pokojem”. Sprawiony gdy Maciej Złotnicki i Maciej Szklarski byli prowizorami kościoła - na cześć Ewangelistów”.

Drugi dzwon ważył 14 ctr. i 43 funty i miał napis poświęcony Trójcy św. Był zakupiony ze składek parafian w 1726 r. a ułany przez Krystyna Brucka w Poznaniu. Dzwon ten pękł już w czasie mojego tutaj pasterzowania wskutek tego, że serce zanadto się zawiesiło i biło w cienki brzeg dzwonu, zamiast w pierścień, w który miało uderzać. Trzeci dzwon ważył 8 ctr. i 89 funtów. Miał napis: „Na większą chwałę Boską”. Zakupił go jeden z parafian i Jana Krystyna Brucka w 1726 r. w Poznaniu. Także i ten dzwon był od dawna pęknięty i wyszczerbiony. Nie pozostawało nic innego, jak kazać przelać wszystkie dzwony. Korzystając z tej konieczności postanowiłem zamiast trzech ułać cztery dzwony i to większe od dawniejszych. Dobrałem do nich takie tony, od których rozpoczyna się Wielkanocne Alleluja Wielkiej Soboty. Ulał je ludwisarz C. Fr. Ulrich w Apoldzie w Turynii w 1895 r.

Ponieważ główną patronką kościoła jest Matka Boska Wniebowzięta a współpatronami św. Jan Chrzciciel i św. Jan Apostoł, dlatego na największym dzwonie umieścić kazałem obraz Matki Boskiej Wniebowziętej, a na dwóch po nim następujących wspomnianych wyżej świętych. Najmniejszemu dzwonowi nadano imię Józef i wyobrażono na nim św. Józefa, patrona kościoła powszechnego, z Dzieciątkiem Jezus na ręku. Dzwony przyozdobiono pięknie modelowanymi napisami: 1. dzwon „Assumpta” - „Święta Maryjo. Królowo Niebios utwierdź w nas pokój i módl się za nami”. 2. Dzwon św. Jan Chrzciciel: „Oczyść ust naszych

szkaradne zmazanie zacny św. Janie”.
3. Trzeci dzwon św. Jana Ewangelisty: „Gdy chcesz podobać się Bogu nie hałasować, ale miłować winieneś”. 4. Czwarty dzwon św. Józef: „św. Józef daje mi imię - zadaniem moim jest wołać na nabożeństwo - siły daje mi religia. Głos mój, głos żywota, wołam was pójźcie na mszę św.”

(...)Waga dzwonów: 1. strojony na ton „A” o średnicy 1,86, waga 75 ctr. 50 funtów; 2. dzwon strojony na ton „d” o średnicy 1,36 waży 29 ctr. i 70 funtów; 3. dzwon strojony na ton „e” o średnicy 1,20 waży 18 ctr. i 20 funtów; 4. dzwon strojony na ton „fis” o średnicy 1,08 waży 14 ctr. i 4 funty. Dzwony kosztowały 16,498 Mk, ale rachunek był pomniejszony o śpiż starych dzwonów i płaciła parafia tylko 11,511 Mk. Wszystkie dzwony stroją znakomicie, tak tony główne jak i dźwięki akustyczne. Prześlicznie brzmi w nich kwinta a-e. (...)Uroczystym dla parafii był dzień 19 czerwca 1895 r., w którym to dniu Najprzew. X. Biskup dr Likowski, sufragan i oficjał poznański, zjechał do

Kościana, by dokonać ceremonii chrztu tych dzwonów. W uroczystości wzięły udział wszystkie cechy i bractwa i całe rzesze parafian.”(...)

Tyle wypowiedzi autorytatywnej w sprawie historii kościańskich dzwonów farnych naszego byłego proboszcza. Wiadomo, że Prusacy zabrali tylko trzy dzwony na cele wojenne – co stało się z czwartym? Czy jeszcze istnieje? Czy to właśnie on wzywa nas na msze św. - zgodnie ze swym napisem? Nie wdając się w wyjaśnianie historii współczesnych dzwonów pragnę ten artykuł zakończyć słowami Ks. Prałata Surzyńskiego:

„(...)Dzwońcie tedy, dzwony kochane w długie lata! Bądźcie zwiastunami pokoju i zgody między parafianami, pocieszajcie ich w smutku, towarzyszcie w radości, budźcie w nich ducha wiary, przypominajcie im, że ponad ziemską miłością jest jeszcze inna miłość, miłość Boga. Dzwonie, który nosisz imię Maryi przypominaj nam, że serce Matki i Jej wszechmocna opieka obdarzy nas pokojem, umocni

w miłości i zgodzie. Janie Chrzcicielu przypominaj nam, że jedynie z czystego serca wypływająca modlitwa wznosi się przed Boży tron. Janie Apostole przypominaj nam, że jedynie miłość od śmierci wiecznej nas ratuje, niech twój dźwięk ulży nam w boleści i do zbożnej śmierci nas przygotuje. Św. Józefie przypominaj nam, że u Boga wielkim jest ten, który w pokorze serca wypełnia do ostatniego tchnienia swego wolę Bożą, który pracuje bez rozgłosu, gardzi względami ludzkimi. Niech nabożne słuchanie mszy św., na którą nas codziennie wzywasz, daje nam moc i siłę do pracy codziennej. Ucz nas miłości do Matki Kościoła, brzmij żałośnie, gdy chmury prześladowań i walk nad nim się gromadzą, wydawaj dźwięki wesołe, gdy postyszysz echo zwycięstwa i tryumf jego ci zwiastujące”.

WK nr 6/1992

* Autorka jest doktorem muzykologii, pedagogiem, pianistką, dyrygentem i zasłużonym działaczem ruchu muzycznego. Urodziła się i mieszka w Kościanie.

Drop w okolicach Kościana?!

Zdzisław Witkowski*

Dropie (otis tarda) - występowały w okolicach Kościana w stanie wolnym. W latach 70. dwukrotnie obserwowałem te wyjątkowe, dostojne i duże ptaki w rejonie obszaru jeziora Wonieś i wsi Przysieka. Dziś nie ma już żyjących dropi na tym obszarze, nie ma ich w ogóle w Polsce. Kolejny raz na naszych oczach i wbrew staraniom człowieka ginie gatunek ptaka, którego nie zdążyliśmy do końca poznać, któremu nie potrafiliśmy pomóc.

*

W „Gazecie Poznańskiej” z dnia 1.03.1996 r. w artykule pt. „Tańczący ptak” M. Kaczmarek informuje nas, że „ostatni w Polsce przedstawiciel tego ginącego gatunku żył do niedawna w Poznańskim. Zginął w tajemniczych okolicznościach pod koniec stycznia w Stobnicy pod Obornikami.”

Otóż znam tę stację, prowadzoną przez inż. Ireneusza Krzysiaka -

rodem z Kościana. Byłem tam przed laty i muszę przyznać, że wzbudziła mój zachwyt. W przepięknej leśnej scenerii prowadzono tam hodowlę głuszcza, cietrzewia, dropia, a także bobra i tarpana. Zaniepokojony tą gazetową wiadomością udałem się do Katedry Zoologii Akademii Rolniczej w Poznaniu, gdzie w rozmowie z prof. Andrzejem Bereszyńskim uzyskałem szereg interesujących informacji na temat dropia, prób jego adaptacji do warunków hodowlanych, występowania



Dropie. Źródło: Wikipedia



Fot. Bogdan Ludowicz

na świecie, ale niestety również potwierdzenie jego całkowitego wyginięcia w Polsce.

Był to ptak niezwykle trudny w adaptacji do warunków hodowlanych, choć ostatecznie próby te powiodły się. Na ziemiach polskich występował od tysięcy lat, dlatego więc wyginął? Przez całe tysiąclecia nie był zagrożony, jednakże postępująca intensyfikacja rolnictwa, a także chemizacja powodowały systematyczne zmniejszanie jego pokarmu dla piskląt, zmniejszanie ilości owadów, chwastów - co było mu niezbędne dla wyżywienia,

gdyż ptaki te zerowały na miedzach, rowach, skrajach dróg, a także na polach. Mechanizacja i postęp to z kolei wykaszanie gniazd i piskląt, zważywszy na około 20-dniowy okres wysiadania jaj i 1 miesiąc, w którym pisklęta nie mają zdolności lotu, przez blisko 2 miesiące czyni je łatwą ofiarą. Dojrzałość płciową ptaki te osiągają w wieku 5 lat, wysiadują z reguły 2 jaja.

Kolejnym - i wydaje się ogromnym i trudnym do przecenienia zagrożeniem dla dropia stały się samoloty, zwłaszcza głośne i nisko latające nad łąkami i polami, wykonujące zabiegi agrotechniczne. Osobiście słyszałem odgłos bijącego serca dropia z odległości ok. 2 m - na skutek stresu wywołanego obecnością nowej, nieznanego mu osoby. Ptak znajdował się w wolierze, w warunkach hodowlanych, przyzwyczajony do obecności ludzi karmiących go i opiekujących się nim, a mimo to tak niezwykle wrażliwie zareagował na moją obecność.

Intensywna penetracja terenu przez ludzi, psy, maszyny rolnicze spowodowały również jego stałą ucieczkę, trudności w kojarzeniu par, zakładaniu lęgów. Dodać tu należy też kłusownictwo. Drop to zwierzę mało „plastyczne” - jak

np. sarna polna czy żuraw, które łatwo adaptują się w nowych warunkach. Jest sztywno konserwatywny w adaptacji, ucieka od człowieka już w odległości 250-300 m, a samica wysiadująca jaja i kilkakrotnie płoszona już nie wraca. Notowano przypadki pęknięcia serca tego ptaka na skutek silnego stresu - wywołanego np. bliskością i hałasem samolotu.

*

Dziś dropie występują jeszcze w Europie na terenie Hiszpanii, byłej NRD, byłego Związku Radzieckiego, na terenach Węgier, lecz są to duże obszary z małym zaludnieniem i te walory pozwoliły przetrwać gatunkowi. Należy jednak i tu mieć świadomość ogromnego dla niego zagrożenia w perspektywie kilku lat. Na całym świecie populację dropia szacuje się na około 10 tysięcy sztuk - to bardzo mało zważywszy na jego specyfikę i wrażliwość.

Hodowlę dropia prowadzi zaledwie kilka ośrodków na świecie (Węgry, Hiszpania, Niemcy, b. ZSRR). Była wśród nich i Polska, ze swym ośrodkiem w Stobnicy. Prof. A. Bereszyński nie ukrywa jeszcze pewnych nadziei, związanych z obietnicą uzyskania w ramach wymiany

4 sztuk dropi od Niemców. Ośrodek w Stobnicy gotowy jest podjąć jeszcze kolejną próbę w oparciu o dotychczasowe doświadczenia. Życzę mu powodzenia i szczęścia, które będą bardzo Ośrodkowi potrzebne.

Dziś w Polsce nie można spotkać żywego dropia nawet w ogrodach zoologicznych. Dropia w Polsce już po prostu nie ma. Należy mieć nadzieję, że podjęta ponownie hodowla po pewnym czasie pozwoli dokonać jego reintrodukcji w sprzyjających warunkach półwolnościowych.

Obserwacja tego ptaka dostarcza niezapomnianych wrażeń, a jego występowanie dowodzi zachowania naturalnych warunków środowiska. Rozpiętość skrzydeł dorosłego osobnika przekracza 2,5 m, waga zaś może przekraczać nawet 20 kg. Liczę, że ponowna hodowla może zakończyć się sukcesem, obawiam się jednak, że na polach w okolicach Kościana nie zobaczymy go jeszcze długo.'

WK nr 5/1996

* Autor jest prawnikiem - sędzią Sądu Okręgowego w Poznaniu, przewodniczącym Wydziału XII Cywilnego SO z siedzibą w Lesznie. Długoletni prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej i działacz ekologiczny.

Kryminał z myszką

Nisko sklezione podziemia gmachu kościańskiego sądu. W wielu pomieszczeniach rzędy regałów. Na nich systematycznie poukładane i oznakowane stopy akt. Tysiące teczek najróżniejszych spraw. Cywilnych i karnych. Pokryte grubą warstwą kurzu zatrzymały dawno miniony czas. Skrywają w swych kolorowych okładkach opisy przebrzmiałych już dziś zdarzeń. Tych istotnych i tych mniej ważnych. Czasem śmiesznych, a czasem przerażających swą okrutnością. Powodowanych przez ludzi i przeciwko ludziom skierowanych. Determinujących wreszcie, niejednokrotnie na długie lata los tych, którzy je wywołali. Zatrzymajmy się nad jedną z tych spraw. Uchylmy pomarańczową, dziś już spłowiałą i sfatygowaną teczkę.

Sprawę otwiera notatka z października 1953 r. Informuje ona, że w kościańskim komisariacie MO jeden z mieszkańców znajdującej się nieopodal wioski zgłosił o zaginięciu swej 20-letniej siostry Krystyny. Według jego słów dziewczyna, w niedzielę, dwa dni wcześniej, około godziny 16 wyszła z domu i dotąd nie powróciła. Czynione przez niego i rodzinę poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Upiływają następne dni. Postępowanie, jak to w tego rodzaju sprawach ślimaczy się. Niby ustala się jakieś okoliczności - nic jednak z nich nie wynika. Po dziewczynie ani śladu. Wreszcie w godzinach wieczornych ostatniego października następuje przełom. W kanale Obry, nieopodal tzw. śluzy bonikowskiej, 40 metrów od drewnianego mostu,

*

Zdzisław Wojtczak*

Fot. Bogdan Ludowicz



patrząc w kierunku pobliskiego Kiełczewa, ujawnione zostają zwłoki Krystyny. Ekipa śledcza z Komendy Powiatowej dokonuje oględzin miejsca zdarzenia. St. sierż. Zygmunt Kaźmierczak, z godną naśladowania starannością, w stosownym protokole stwierdza, że szerokość lustra wody w tym miejscu wynosi 13 metrów, a głębokość nie przekracza 120 cm.

Przeprowadzona zostaje sekcja zwłok Krystyny. Przyczyną zgonu jest utonięcie. Na jej twarzy stwierdzono

przy tym obrażenia. Dr Stefan Raszeja, znany i wówczas, i później, medyk sądowy skrupulatnie wymierza je i opisuje. Zadane zostały za życia ofiary. Okazuje się nadto, że Krystyna była w trzecim miesiącu ciąży. Te wszystkie okoliczności nasuwają prowadzącym śledztwo najprawdopodobniejszy wniosek - to zabójstwo. Ten, który to zrobił, pewien, jak się później okaże bezkarności, nie wie jeszcze, że zegar sprawiedliwości odmierza już jego czas.

*

Wioska nie należała do wielkich. Sąsiedzi, jak to zwykle w takich przypadkach bywa, sporo wiedzieli i widzieli. Tragedia rozwiązała języki. Byli tacy, którzy widzieli, jak Krystyna krytycznej niedzieli zmierzała w kierunku kanału. Inni, jak spacerowała tam z mężczyzną. Nie nasuwało również trudności ustalenie, z kim w przeszłości spotykała się. Słyszano m.in. jej słowa skierowane do jednego z mieszkańców wsi, że „jest z nim w ciąży i czy będzie się z nią żenił”.

Jeszcze nie odbył się pogrzeb Krystyny, a 25-letni mieszkaniec tej samej wioski, bliski przyjaciel jej brata, nazwijmy go Stanisław, został zatrzymany i przesłuchany jako podejrzany. W tych swych pierwszych wyjaśnieniach Stanisław nie tylko zaprzeczył, ażeby mogło go wiązać z Krystyną coś więcej niż znajomość, ale przedstawił również „murowane” jego zdaniem alibi na dzień zaginięcia Krystyny. Tego otóż dnia, wraz z kolegami udał się o godzinie 15 pociągiem do Kościana. Tam chodził po mieście, zajrzał na mecz odbywający się na stadionie, a później odwiedził krewnych i około godziny 20 poszedł szosą do swego miejsca zamieszkania.

Jeszcze jeden dzień trwało sprawdzenie tych faktów. Przyniosło nadzwyczaj ciekawy rezultat. Stanisław faktycznie o 15-tej wyjechał pociągiem wraz z kolegami do Kościana. Rzekomo do kina. Kiedy jednak po przyjeździe do miasta koledzy rzeczywiście się tam udali, on z oglądania filmu zrezygnował i opuścił ich twierdząc, że udaje się do krewnych. Do tych ostatnich przybył, ale bezpośrednio przed 19-tą, zmoczony powyżej pasa i z mokrymi rękawami marynarki. Tam też suszy rzeczy,

opowiadając przy tym, że został zepchnięty przez grupkę pijanych do kanału przy moście kolejowym w Kościanie. Około 20-tej poszedł do swej wioski.

4 listopada Stanisław przesłuchiwany jest po raz wtóry. Teraz wyjaśnia już inaczej. Tak, utrzymywał bliskie kontakty z Krystyną. Był przez nią kilkakrotnie informowany o tym, że jest z nim w ciąży. Nie chciał jednak brać ślubu, a ponieważ nie widział innego wyjścia, postanowił ją zabić. W ostatnią sobotę jej życia pracowali wspólnie w miejscowej spółdzielni i wówczas umówił się z nią na dzień następny o 17-tej nad kanałem. Pojechał z kolegami do Kościana. Myślał, że w ten sposób zapewni sobie alibi. W mieście odłączył się od nich. Poprzez park, wzdłuż kanału udał się na umówione z Krystyną spotkanie. Kilka minut spacerowali brzegiem kanału, a potem podprowadził ją w miejsce, o którym wiedział, że kanał jest tu stosunkowo głęboki. Usiedli na brzegu. Zapytał się Krystyny raz jeszcze - czy na pewno jest z nim w ciąży. Oddajmy zresztą głos Stanisławowi:

„Potwierdziła, że tak. Po wymianie tych słów ja podniosłem się, a za mną i Krystyna. Zepchnąłem ją prawą ręką do kanału. Wpadła głową do wody zanurzając się całkowicie. Po chwili jednak wynurzyła się z wody i zaczęła wychodzić z kanału w moją

stronę. Dwa lub trzy razy krzyknęła - Stanisław. Ja wtedy pięścią uderzyłem ją silnie w lewą część twarzy. Ona ponownie wpadła do wody i zanurzyła się. Kiedy po chwili zaczęła podnosić się wskoczyłem do kanału, chwyciłem ją za kabat na plecach i przytrzymałem przez kilka minut pod wodą. Początkowo ruszała rękoma ale po chwili przestała. Pozostawiłem ją w wodzie. Przeszedłem przez kanał na drugą stronę. Chwilęostałem patrząc czy Krystyna nie poruszy się. Ponieważ to nie nastąpiło udałem się lewą stroną kanału do Kościana do moich krewnych”.

Swoje wyjaśnienia Stanisław podtrzymał przesłuchiwany także przez prokuratora. Jeszcze kilka tygodni trwało śledztwo.

*

6 kwietnia 1954 r. rozpoczęła się rozprawa. Sądowi przewodniczył prezes kościańskiego Sądu E. Szurkowski. Oskarżał prokurator wojewódzki M. Świtoński. Przewód rozpoczęły wnioski zgłoszone przez obrońcę Stanisława, Pomińmy tu jego nazwisko. Adwokat, tak, jak i dzisiaj niejeden przedstawiciel palestry upatrywał szansę swego klienta w oczernianiu pokrzywdzonej. Było to tak niegodne, że nie tylko nie uzyskało, co oczywiste, aprobaty Sądu, ale nawet sam Stanisław nie podtrzymał tego wątku. Kolejny wniosek mecenas znowu zmierzał do nazwania czerni bielą, czy jak kto woli odwrotnie. Twierdził on bowiem, wbrew wszelkim ustaleniom, że przyczyną zgonu Krystyny był „udar serca” spowodowany wпадnięciem do zimnej wody. I ten wniosek nie znalazł, bo znaleźć nie mógł, uznania w oczach Sądu.

Pozostała więc już ostatnia nadzieja wszystkich adwokatów - badanie psychiatryczne Stanisława. I w tym jednak przypadku, ponieważ adwokat nie podał najmniejszych dowodów uzasadniających wątpliwości co do poczytalności oskarżonego, Sąd twardo odpowiedział - nie.

A sam Stanisław? Także zmienił swe wyjaśnienia. Twierdzi teraz, że nie miał zamiaru zabić Krystyny. W chwili, gdy siedzieli nad kanałem zaczęła się sprzeczka. Zdenerwowany wówczas popchnął Krystynę, a gdy



Okladka pierwszej książki autora, wydanej w 1994 r. w Kościanie.

Grafika: Grzegorz Pawlak

usiłowała wyjść z wody uderzył ją w twarz. Po chwili, wskutek jej wołania, skoczył jednak na pomoc. Kiedy był tuż przy niej zatonała. Na skutek szoku nie zawiadomił nikogo o zdarzeniu. Poprzednio wyjaśniał inaczej ponieważ był załamany.

*

Późnym wieczorem, bo o godzinie 20.45 zakończyła się rozprawa. Wyrok ogłoszono po dwóch dniach. Kościański Sąd okazał się surowy - Stanisławowi wymierzono karę śmierci. W pisemnym uzasadnieniu Sąd podkreślił, że oskarżony z premedytacją zaplanował i dokonał najcięższej zbrodni, zabił człowieka, co więcej zabił bez żadnego racjonalnego powodu młodą dziewczynę, przyszłą matkę swego dziecka. Za surowym wymiarem kary przemawiał również sposób zachowania się Stanisława już po dokonanych przestępstwie.

Przy takim wyroku musiała być rewizja obrońcy. Obszerna, podnosząca wiele wątków. Sąd Wojewódzki

w Poznaniu podzielił wszystkie argumenty Sądu I instancji. Znalazł jednak okoliczności łagodzące. Zaliczył do nich dobre opinie o oskarżonym, jego niekaralność i ukończenie przez niego zaledwie czterech klas szkoły podstawowej. To spowodowało zmianę kary. Stanisławowi wymierzono istniejącą jeszcze wówczas karę dożywotniego więzienia.

Biegły lata. Co pewien czas on i jego obrońca składają wniosek o ułaskawienie. Co jednak charakterystyczne Stanisław w swych prośbach nie kwestionuje ani swej winy, ani kary. Prosi tylko o łaskę. Pozostają one bez biegu. Mimo, że kolejne zakłady karne przedkładają o Stanisławie jak najlepsze opinie. Od 1956 roku przebywa w jednym z najcięższych zakładów karnych - w Sztumie. Kończy szkołę podstawową i zasadniczą szkołę zawodową. Pracuje jako stolarz.

I wreszcie, po przeszło 15 latach więzienia Sąd Wojewódzki w Gdańsku warunkowo zwalnia skazanego. Okres

próby wynosi 5 lat. Stanisław osiedla się tam, gdzie spędził 12 lat życia - w Sztumie. Jego zachowanie jest bez zastrzeżeń. Wiosną 1970 roku zmienia stan cywilny. Ma dziecko. W roku 1973 wyjeżdża na stałe wraz z rodziną do RFN.

*

Akta kończą się. Pomarańczowa okładka zamyka ludzkie pojęcie sprawiedliwości. I tylko nie ma Krystyny.

WK nr 4/1990

** Zdzisław Wojtczak jest prawnikiem, publicystą i literatem. Napisał i opublikował kilkaset artykułów o tematyce prawniczej i wspomnieniowej. Jest autorem książek z reportażami kryminalnymi i „Słownika biograficznego absolwentów kościańskiego gimnazjum i liceum”. Urodził się w Kościanie, mieszka w Nowej Soli. Jest współtwórcą „Wiadomości Kościańskich”.*

Zona generała Dąbrowskiego

W tym roku przypada 200-lecie powstania Hymnu Narodowego. Z utworem tym wiążą się dwa nazwiska: autora - Józefa Wybickiego i wymienionego w tekście - twórcy Legionów Jana Henryka Dąbrowskiego. Obie postacie przeszły do historii. Mało kto jednak wie, że drugą żoną generała była rodowita śmigielanka - Barbara z Chłapowskich Dąbrowska.

*

Dobra śmigielka od Franciszka Sułkowskiego nabył w 1767 r. Stanisław Chłapowski. Jego synem był Józef - starosta kościański - ojciec Dezyderego, Barbary i Nepomuceny. Ta ostatnia - później kasztelanka międzyrzecka, wychodziła za mąż dwukrotnie: za Michała Sczanieckiego i - po owdowieniu - za dalekiego krewnego Ksawerego Chłapowskiego. Ślub odbył się 10 listopada 1781 r. w Buku.

Ksawery użytkował Śmigiel. Jak na ówczesne czasy, był kimś. Uczył się

w szkołach jezuickich, brał udział w Konfederacji Barskiej, nosił godność podczaszego wschowskiego nadaną mu przez Stanisława Augusta w 1782 r. Był też posłem na Sejm Wielki. W 1792 r. został mianowany komisarzem cywilno-wojskowym powiatu kościańskiego i Ziemi Wschowskiej. Był dobrym gospodarzem. A trzeba dodać, że ich dobra zostały powiększone o wiano Nepomuceny po pierwszym mężu - majątek Łopuchowo, położony niedaleko Murowanej Gośliny. Ze związku Ksawerego i Nepomuceny urodziło się troje dzieci wszystkie w Śmiglu: Barbara, Klemens i Stanisław.

Barbara przysłała na świat 30 listopada 1782 r. Dzieciństwo i młodość przebiegały jej według obowiązujących wówczas w domach szlacheckich standardów. Władza dobrze francuskim - w śmigielskim dworze rezydował Francuz Charles de Malartic i niemieckim, słabiej - łaciń. Dzięki starannemu wykształceniu Barbara Chłapowska z łatwością

Hubert Zbierski*

Fot. Bogdan Ludowicz



w późniejszych czasach weszła na salony Europy. Posiadała cztery atrybuty ówczesnej panny: piękność, pobożność, pracowitość i posąg. Wnet pojawili się kandydaci do ręki. Dostali jednak kosza. Ojciec postanowił wyjechać z córką do Warszawy. Tu zetknęli się m.in. ze Stanisławem Staszicem i Wojciechem Bogusławskim, którego pan Ksawery znał osobiście. Barbara w czasie tego pierwszego, krótkiego pobytu w stolicy dwa razy była w teatrze.

*

Śmigielski dworek, usytuowany w przylegającym Koszanowie, chociażby ze względu na właściciela,

tętnił życiem politycznym. Pilnie nasłuchiowano wieści z dalekiej Francji i Włoch, głównie o osobliwym polskim wojsku. Powracający legionieści opowiadali nie tylko o dramatach, ale o ich generale Janie Henryku Dąbrowskim. Pierwszy raz o tym człowieku Barbara usłyszała mając 12 lat, gdy w 1794 r. maszerował na czele wojska ze zwycięsko broniącej się Warszawy do Wielkopolski. Zapewne była też świadkiem przemarszu przez Śmigiel 26 sierpnia 1794 r. oddziału gen. Niemojewskiego, starosty śremskiego, który zmierzał z Rąbinia w kierunku Słupcy, by połączyć się z powstańcymi wojskami Dąbrowskiego.

Do pierwszego spotkania Barbary Chłapowskiej z J. H. Dąbrowskim doszło w listopadzie 1805 r. w poznańskim ratuszu. Prezentacji Barbary dokonał Józef Mielżyński. Śmigielanka ujrzała przed sobą człowieka o nieciekawej powierzchowności, który mimo to, wywarł na niej wielkie wrażenie. Było też i odwrotnie. Po raz drugi spotkali się 3 września 1807 r. w Rawiczu. Podobno zainteresowanie Dąbrowskiego Barbarą było dostrzegalne dla otoczenia od ich pierwszego, poznańskiego spotkania.

Prostą tego konsekwencją był przyjazd następnego dnia Dąbrowskiego do Śmigla, gdzie podejmowano go przez kilka dni. Kulminacyjnym momentem wizyty stały się oświadczenia o rękę Barbary. Zostały przyjęte. Przy zrękowinach ustalono, że ślub odbędzie się w Śmiglu, a „młodzi” (Barbara miała 25 lat, Henryk 52 i był wdowcem) zamieszkają w Winnogórze, którą Dąbrowski otrzymał od Napoleona jako donację. Plany jednak zmieniono i ślub odbył się 5 listopada 1807 r. w Poznaniu.

Barbara Chłapowska wyszła za człowieka, którego dewiza życiowa brzmiała: „Przez Niego do Niej” i była wyryta na piedestale popiersia Napoleona, które stało w Winnogórze. Dąbrowski wierzył głęboko, że przy jego boku będzie można wywalczyć Polskę. I Barbara była tego świadoma. Towarzystwo mężowi w licznych jego wyprawach wojennych, w czasie których zahartowała się i usamodzielniała, „nabrała męskiego uczucia honorowego, żelaznej woli i gotowości poświęcenia się dla kraju”.

*

Póki co zajęła się z mężem (korzystał z bezterminowego urlopu) urządzaniem pałacu w Winnogórze, który zamieniał się w legionowe archiwum, bibliotekę, zbrojownię oraz muzeum. W kwietniu 1809 r. w granice Księstwa Warszawskiego wkroczyły wojska austriackie. Barbara na tę wojnę wyprawiła i męża, i brata Stanisława, który został adiutantem generała. W sierpniu tegoż roku odwiedziła stacjonującego w Galicji męża. Zwiedziła Kraków, zapoznała się z bliska z życiem wojskowym.

W grudniu 1811 r. udała się do męża do Warszawy i zwiedziła budowę twierdzy w Modlinie. W maju 1812 r. przedstawiono ją w Poznaniu Napoleonowi, a jesienią znów wyprawiła się do Warszawy. Później, w czasie walk z Rosjanami, przebywała w rejonie Bobrujska, niedaleko przeprawy przez Berezynę, gdzie niemal nie zginęła z rąk Kozaków.

Wielka armia Napoleona poniosła klęskę i podjęła odwrót. Dąbrowscy powrócili do Winnogóry, gdzie powzięli trudną decyzję: udali się za Napoleonem na tułaczkę. Barbara zamieszkała w Moguncji. Jej mężowi powierzono dowództwo wojsk polskich przebywających w Saksonii. Kwaterował w Lipsku. Walki toczyły się już na terenie Prus. Barbara w 1813 r. przebywała w rejonie walk pod Wittenbergiem, gdzie po raz drugi spotkała Napoleona. W bitwie narodów, w październiku tegoż roku



Jan Henryk Dąbrowski.
Źródło: Wikipedia

pod Lipskiem Napoleon poniósł klęskę i wojska jego wycofały się w głąb Francji.

Barbara zamieszkała w Paryżu, gdzie 18 marca 1814 r. urodziła córkę Bogusławę. Krótko po tym została przedstawiona zwycięskiemu carowi. Dąbrowscy wracają do kraju, do Warszawy. Tu na świat przychodzi 19 września 1815 r. drugie dziecko - syn Bronisław.

*

Kongres Wiedeński tworzy Królestwo Polskie. Dąbrowski po raz któryś zostaje urlopowany. Małżonkowie wracają do Winnogóry. Nieszczęśliwy upadek wysiadającego z karety generała, który wracał z dalekiej podróży do Krakowa spowodował otwarcie się rany, krwotok i gangrenę. Po czterech dniach, 6 czerwca 1818 r. generał zmarł.

Po śmierci męża celem Barbary z Chłapowskich Dąbrowskiej były dzieci i kultywowanie legendy swego męża, który nie u wszystkich rodaków cieszył się mirem. W 1822 r. przeprowadziła się do Warszawy. Sześć lat później przybyła w Poznańskie. Bawiła w Śmiglu, gdzie ojciec Ksawery doprowadził do szczęśliwego finału sprzedaż pałacu i dóbr. W 1830 r., ze względu na atmosferę panującą w Warszawie, przeniosta się na stałe do Drezna. Często, jak w dotychczasowym życiu, podróżowała. Przebywała m.in. w Poznańskim (1831) i w Paryżu (1835).

Córka Bogusława w grudniu 1835 r. wyszła za mąż za Teodora Mańkowskiego, ziemianina z rejonu Kamienia Podolskiego. Syn Bronisław, po studiach w Dreźnie i Lipsku oraz odbyciu służby wojskowej w pruskim wojsku, w 1838 r. osiadł w Winnogórze. Później związał się z Ludwikiem Mierosławskim, którego był adiutantem. Zmarł bezpotomnie.

Barbara, której stan zdrowia znacznie się pogarszał - astma stawała się coraz uciążliwsza, a do tego doszła jeszcze depresja spowodowana losem syna - udała się do Paryża, gdzie 22 stycznia 1848 r. zmarła. Została pochowana w Winnogórze.

*

Dwór w Koszanowie-Śmiglu znikł na naszych oczach. Na przełomie lat 1987/88 podjęto decyzję o kapitalnym

remontu obiektu. Wykwaterowano lokatorów, opracowano dokumentację. Zabezpieczono też środki, wiedząc, że są niewystarczające. Remont rozpoczęto od zdjęcia części pokrycia dachowego, odsłaniając w ten sposób stropy i mury i podając je wpływom jesiennej aury. Remontowanego obiektu nie zabezpieczono. „Rozbiórka prowadzona była chaotycznie i nie po gospodarstwu”. Wykonawca, a było nim Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Kościanie, któremu wtedy podlegała substancja mieszkaniowa w Śmiglu, z powodu braku funduszy, nie mógł kontynuować prowadzonych prac. Nie pomogły interwencje konserwatora zabytków i Urzędu Rejonowego w Kościanie w Prokuraturze Rejonowej w Kościanie. Dworek ginął w oczach.

W tej sytuacji władzom lokalnym,

na podstawie przeprowadzonej ekspertyzy, nie pozostało nic innego jak wystąpienie o pozwolenie na rozbiórkę obiektu. Po wizji lokalnej z udziałem ekspertów od spraw architektury, urbanistyki i krajobrazu kulturowego oraz państwowej służby ochrony zabytków, Generalny Konserwator Zabytków w Warszawie 13 grudnia 1993 r. podjął decyzję o skreśleniu z rejestru zabytków dworu w Koszanowie-Śmiglu stwierdzając m.in:

„Aktualny stan techniczny budynku uniemożliwia przeprowadzenie jego remontu i czyni go nieopłacalnym, bowiem stopień zużycia technicznego poszczególnych elementów wynosi 90-95 procent. Można zatem uznać, że budynek jest w stanie całkowitego zniszczenia”.

Przystąpiono do prac rozbiórkowych.

W miejsce stojącego dworu posiano trawę. Uporządkowano park otaczający dawny dwór. Wykwaterowani na czas remontu lokatorzy nadal mieszkają w lokalach zastępczych - choć niektórzy na tym skorzystali. Tak przez nieprzemyślaną decyzję, nieudolność kierowania i zarządzania, w majestacie prawa straciliśmy jeden z ważnych zabytków Ziemi Kościańskiej.

WK nr 2/1997

** Autor jest magistrem polonistyki, nauczycielem i regionalistą. Współczesny piewca dziejów i piękna Śmigla i okolicy – napisał i wydał drukiem wiele książek z tej dziedziny, wśród nich encyklopedyczne dzieło pt. „Śmigielskie a, b, c...”.*

Pacjent bez nazwiska

Wczesnym rankiem, we wtorek 7 września 1954 r. w bramę Państwowego Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie wjechał czarny samochód osobowy z warszawską rejestracją. Chudy cywil w popielatym prochowcu z podniesionym kołnierzem, w wysokich oficerskich butach, machnął portierowi legitymacją przed oczyma i wóz ruszył dalej - pod wilgą oznaczoną rzymską dwójką. Dyrekcja czekała. Telefonicznie uprzedzono z Ministerstwa Zdrowia w Warszawie, że Kościan otrzyma specjalnego pacjenta, którego trzeba strzec jak oka w głowie. Szczegółów nie podano. Pielęgniarski Wilczewski, poczciwy i dobry człowiek, nie potrafił w pewnej chwili powstrzymać okrzyku zdziwienia:

- Jezus, Maria! Panie dyrektorze!

To przecież...

Dyrektor sanatorium dr med. Oskar Bielawski delikatnym ruchem położył mu dłoń na ustach.

- Ciszej, panie Wilczewski.

To tajemnica wielkiej wagi państwowej...

Rygory

Przybysza ulokowano w komfortowych na owe czasy warunkach, w „pojedynce” z radiem. Zastosowano wobec niego ostre rygory. Specjalnie wytypowani pielęgniarze - uprzednio zaprzysiężeni - czuwali nad nim nocą i dniem. Instrukcje dyrekcji były następujące:

- Nazwisko pacjenta należy trzymać w ścisłej tajemnicy przed otoczeniem, traktując jego pobyt w Kościanie jako najwyższej wagi tajemnicę służbową.

- Nie wolno było dopuszczać do odwiedzin.

- Pacjent nie mógł mieć przy sobie pieniędzy.

- Nie wolno mu było przeprowadzać rozmów telefonicznych.

- Nie doręczano mu listów; nie pozwalano wysyłać korespondencji.

- Pielęgniarski pod żadnym pozorem nie mógł odstąpić pacjenta ani na krok.

- Jego kontakty z innymi kuracju-

Jerzy Zielonka*

Fot. Edward Baldys



szami były szczegółowo kontrolowane.

- W przypadku najmniejszych wątpliwości pielęgniarz miał się zwracać z pominięciem drogi służbowej bezpośrednio do dyrektora.

Był więc to program leczenia zamkniętego z daleko posuniętą izolacją i stałym, ścisłym nadzorem. Obsługę poinformowano, że tajemnicza osobistość, o której w trzeciej osobie pisano zawsze przez duże „O”, na skutek przeżyć rodzinnych wpadła w depresję i że trzeba wszystko uczynić, by nie targnęła się na swe życie lub nie próbowała dalej zatapiać smutków w alkoholu, w którym przez kilka poprzednich dni pacjent wyraźnie szukał ukojenia.

Książki i papierosy

Nikt z nas nie był głupi - opowiadał po latach p. Antoni Wilczewski, kościański pielęgniarz. Wszyscy czytaliśmy książki i gazety. A twarz naszego pacjenta znajdowała się nawet w podręcznikach szkolnych. Moi koledzy Żak, Olejnik, Zakrzewski, Kister, Frackowiak, Marszałek i pielęgniarka Patalasówna strzegli chorego nieustannie, nie odstępowali od niego. Wiedzieli kto to jest...

Przez cały czas pobytu w Kościanie, chory nie przespał ani jednej nocy. Dużo czytał, obłożony książkami z sanatoryjnej biblioteki; sięgał codziennie po stopy gazet, słuchał radia, spalał niesamowite ilości papierosów, poza tym grał w szachy, stawiał preferansa i rznął w „baśkę” ze swoimi „stróżami”. Od pierwszego dnia nie mógł się pogodzić z ostrym rygorem, szczególnie protestował przeciw całodobowej obecności pielęgniarzy w jego pomieszczeniu.

7 września z rana był jeszcze senny, zjadł pół bułki, trochę sera i wypił dwie filiżanki kawy. Po obudzeniu wzywał dyrektora, który do niego nie przyszedł; żądał też uwolnienia go spod opieki pielęgniarskiej. Siedem razy wspominał o tragicznej śmierci swej córki.

8 września stał się rozmowny. Opowiadał o swoich przeżyciach zagranicą, o miłości do Ojczyzny. O zmarłej córce wspominał tylko raz. Za to dużo mówił o wojsku i o wojnie. Przytoczył fragment wiersza: „Kiedy przyjdą podpalić dom, ten, w którym mieszkasz - Polskę, kiedy rzucają przed siebie grom, kiedy ruszą żelaznym wojskiem i pod drzwiami staną, i nocą kolbami w drzwi załomocą - ty, ze snu podnosząc skroń, stań u drzwi. Bagnet na broń!”.

Dokąd płyniemy ?

Nieżyjący dziś p. Antoni Wilczewski przekazał mi sporo zdjęć i pamiątek ze swej pracy w kościańskim Sanatorium. Miałem także to szczęście, że za jego życia spotykaliśmy się kilkanaście razy. Potrafił wspaniale opowiadać, miał wyśmienitą pamięć; zdawał sobie sprawę widocznie, że pracując jako pielęgniarz współtworzy historię



Władysław Broniewski

regionu i staje się jej świadkiem. Był zaufanym człowiekiem dra Bielawskiego, o wszystkim wiedział, do wszystkiego miał dostęp...

9. IX. 1954 r. Pacjent Władysław po obiedzie siadł na łóżku i rozpoczął opowieść o swej córce. - Umarła, tak się tym przejąłem, że przywieźli mnie do Kościana w obawie, abym nie popełnił samobójstwa. A przecież chcę żyć. Moja Anka! Dla niej pisałem poemat „Wisło” - „Rzeko piękna, rzeko polska, rzeko mojego życia - dokąd płyniemy? Jeśli u twoich ujść jest moja radość ostatnia, zabierz



„Anka” – tragicznie zmarła córka poety.

Źródło: (2x) Wikipedia

mnie, piękna polsko rzeko - Wisło...

10. IX. 1954 r. Pacjent Władysław stale czytał książki. Mówił mało, chwilami wpadał w zadumę. Bardzo mu smutno, że go nikt nie odwiedza. Czuję się jak w więzieniu - powiadał. Wieczorem wyszliśmy na spacer do parku. Opowiadał mi jak czuł się, kiedy aresztowano go w 1931 r., mówił o swoich wierszach - jak je pisze, jak je tworzy. Deklamował niektóre: „Jeśli nie lękasz się pieśni stłumionej złowrogiej i głuchej, gdy serce masz męża i jeśli pieśń kochasz swobodną - posłuchaj. Szeroka, szeroka jest ziemia, gdy myślą ogarnąć ją lotną, szeroko po ziemi więzienia, głęboka w więzieniu samotność...”

Tak było dzień po dniu, noc po nocy. Ruchliwy pacjent Władysław nie mógł znieść izolacji. Był to duch twórczy i niespokojny. Nieustannie domagał się usunięcia pielęgniarzy osobistych. Ale na wysokim szczeblu zdecydowano, że ma być tak, a nie inaczej. Mimo rygorów - przebił się przez opiekunów, z pomocą jednego z nich; wysłał z Kościana przynajmniej dwa listy - w tym jeden do żony Wandy w Warszawie. Nawiązał też kontakt z przebywającym w Kościanie na kuracji członkiem ówczesnego Komitetu Centralnego partii - Kozłowskim. Spacerowali razem po parku i rozmawiali.

Głodówka

27 września miał pierwsze odwiediny z zewnątrz. Przyjechał do niego „ktoś” z Warszawy. Po godzinnej rozmowie z nieznanym pacjent był wyraźnie podenerwowany, ale uspokoił się szybko. Oświadczył obsłudze, że od dziś przestaje przyjmować pożywienie i lekarstwa - słowem urządza głodówkę. Do pielęgniarzy pretensji nie miał, traktował ich nadal serdecznie, żartował i po kilku godzinach rozegrał kilka zwycięskich partii w szachy.

Głodówka była żelazna i trwała 6 dni. Chory pił tylko kilka szklanek ciepłej wody z cukrem dziennie i... mizerniał w oczach. Na najwyższym szczeblu nastąpiła panika. Pielęgniarz Wilczewski wspominał:

- 3 października 1954 r. To była na pewno niedziela. Namawialiśmy

jeszcze pana Władysława. żeby zjadł coś. - W żadnym wypadku - powiedział - ja zdania nie zmieniam! Pił wodę z cukrem i palił ogromne ilości papierosów. W południe zrobił się szum. - Sam minister przyjeżdża!

- Były to czasy, w których na każdy przyjazd przedstawiciela rządu miasto flagowano. Poleciałem po flagę. Po drodze zatrzymał mnie wicedyrektor administracyjny Stanisław Ławniczak.

- Panie Wilczewski, dokąd pan biegnie? - Dokąd? - po flagę, minister przyjeżdża. - Niech pan sobie daruje, minister jest tutaj incognito. - Jak? - No wie pan, potajemnie. Nikt nic nie wie... Po dwunastej do willi II wszedł minister; długo rozmawiał z panem Władysławem. O w pół do szóstej wieczorem nasz pacjent wsiadł do samochodu ministra Zdrowia Jerzego Sztachelskiego i wraz z nim odjechał do Warszawy...

*

Kuracja kościańska - obok zaawansowanej choroby wątroby - ujawniła u pacjenta ślady przebytego w 1952 r. zawału w ścianie tylnej serca; zawału dotkliwego i rozległego. Cały ten epizod z życia wybitnego poety Władysława Broniewskiego (on jest bowiem bohaterem tego artykułu) nie jest znany historykom literatury. Nigdzie nic na ten temat nie napisano, uznając incydent i nałóg za rzecz

wstydlivą.

Rozgłosnia „Wolna Europa” była wtedy silnie zagłuszana tak, że głos ledwie dochodził skrawkami słów z dzikiego warkotu; nasza prasa hermetycznie blokowana nie nadała sprawie rozgłosu, więc w Kościanie nie wiadomo - poza wąską grupą wtajemniczonych - że 1 września 1954 r. w swym mieszkaniu tragicznie zmarła ukochana córka poety Joanna z d. Broniewska Kozicka. Była - niewątpliwie - perłą jego życia. Długo jeździli ze sobą po Mazowszu. Anka tak na nią mówił ojciec - kręciła film o pięknie polskiej ziemi i o królowej polskich rzek. Podkład słowny pod zdjęcia stanowił poemat „Wisła”, który Broniewski rozpoczął i niestety - nie dokończył. Obraz córki zatrutej gazem prześladował go w snach. Psychika poety nie wytrzymała tej tragedii.

Przypominam sobie jak w 1959 r. Władysław Broniewski - zdaje się na sali kościańskiego Gimnazjum spotkał się z młodzieżą. Był tragicznie zmęczony. Zadeklamował zachrypniętym głosem „Komunę Paryską”, „Bagnet na broń”, a później już - aż do końca długiego spotkania mówił o Ance - jaka była i jaka byłaby. Wrażenie wstrząsające - jak Jego poezja. Spotkanie skończył strofami:

„Córko moja nieżywa, o! brzozo!
pieśni nić niegodziwa
chce mnie spętać trumiennie

i - zatruta - być we mnie
o! brzozo!”

*

Zmarł 10 lutego 1962 r. w Warszawie. W moich prywatnych zbiorach przechowuję list do dr. Oskara Bielawskiego, napisany przez poetę w stolicy 4 października 1954 r.:

„...Po moim wyjeździe z Kościana, dziękuję za przesłane mi życzenia zdrowia i rozwagi i ze swej, strony przesyłam panu doktorowi i jego personelowi lekarskiemu życzenia takie same... Załączam ukłony dla obojga Państwa i dla dr. Gryglika. Z poważaniem W. Broniewski.”

Na dole dopisek: „Szanowny Panie dyrektorze. Dziękuję bardzo za list i łączę wyrazy poważania (-) Wanda Broniewska.”

WK nr 1/1988

* Autor jest rodowitym kościaniakiem, dziennikarzem „Panoramy Leszczyńskiej”, współtwórcą „Wiadomości Kościańskich”.

Ten tekst ukazał się w pierwszym numerze „WK” i spowodował medialną burzę w kraju i zagranicą. Żona poety - Wanda groziła redakcji procesem. Długo trwały polemiki. Ostatecznie artykuł ten - i później napisany wspólnie z Piotrem Gabryelem - stał się ważnym przyczynkiem do biografii Władysława Broniewskiego i jest cytowany w licznych opracowaniach współczesnych.

Zginęli w Katyniu

Ostaszków, Kozielsk i Starobielsk trzy miejscowości w Związku Radzieckim, które związane są z losami żołnierzy polskich w czasie II wojny światowej. Po klęsce wrześniowej w 1939 r. znajdowały się tam trzy największe obozy jenieckie dla oficerów polskich, internowanych na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej - po zajęciu ich przez oddziały Armii Czerwonej.

*

Jest wspólnym paradoksem natury i historii, że obozy te miały niezwykle malownicze położenie i szczerze zastały obdarzone przez przyrodę. Piękno natury i niewola. Ostaszków, na zachód od Kalinina, na trasie Stara Ruś - Rzew, przycupnął na południowym skraju polodowcowej rynny, w której błękitniało jezioro - nad Wołgą. Tam przebywało ok. 3 tys. oficerów. Było to zarazem miejsce internowania

funkcjonariuszy polskiej Policji Państwowej. Kozielsk - w dorzeczu Sizdry, miejscowość bodaj najbardziej znana. Tam znajdował się największy obóz, w którym pośród lasów zgrupowano 4 500 oficerów. Wokół trzy miasta o historycznej przeszłości: Briańsk, Kaługa, Tuła, na północny wschód od Smoleńska. Kozielsk leży najbliżej Kaługi. Starobielsk - gród nad Aidarem w rejonie Charkowa, w którym internowano ok. 3 000 polskich oficerów. Ci, którzy tam byli i przeżyli wspominają, że zima nad tą rzeczką mogła stanowić najlepszy

temat twórczy dla najbardziej wybrednych malarzy. I wreszcie Katyń, owe piaszczyste pagórki i wąwozy w rejonie tak zwanej Koziejgóry, w lasach pod Smoleńskiem. Miejsce, w którym ujawniono wiosną 1943 r. 8 masowych mogił, na powierzchni ponad 500 m kwadratowych.

Nie będę powtarzał tego, co hitlerowska propaganda podała do publicznej wiadomości przed 45 laty. Nie zamierzam też streszczać polskich publikacji, które ukazały się na ten temat w latach pięćdziesiątych. Nie chcę też uprzedzać wyników ustaleń polsko-radzieckiej komisji historyków, która pracuje m.in. nad wyjaśnieniem szczegółów sprawy katyńskiej. Nie myślę jeszcze - przynajmniej w tym artykule - opisywać anatomii zbiorowego morderstwa i wskazywać imiennie zbrodniarzy. Nie mogę jednak zgodzić się z dość powszechną tezą, że o zbrodni katyńskiej nie należy pisać w ogóle do czasu opublikowania oficjalnych wersji zdarzeń. Historia - być może - wybaczy tym, którzy tak długo przemilczali Katyń, ale na pewno nie wybaczy nikomu prób usunięcia w cień ofiar tej zbrodni. Piszę przeto o ludziach, o swych krajanach, o synach Ziemi Kościańskiej, którzy byli Polakami; z bronią w ręku stanęli w obronie Ojczyzny, wyszli z domów na wojnę, pozostawili rodziny, by nie powrócić. Nikomu nie wolno o nich zapomnieć.

*

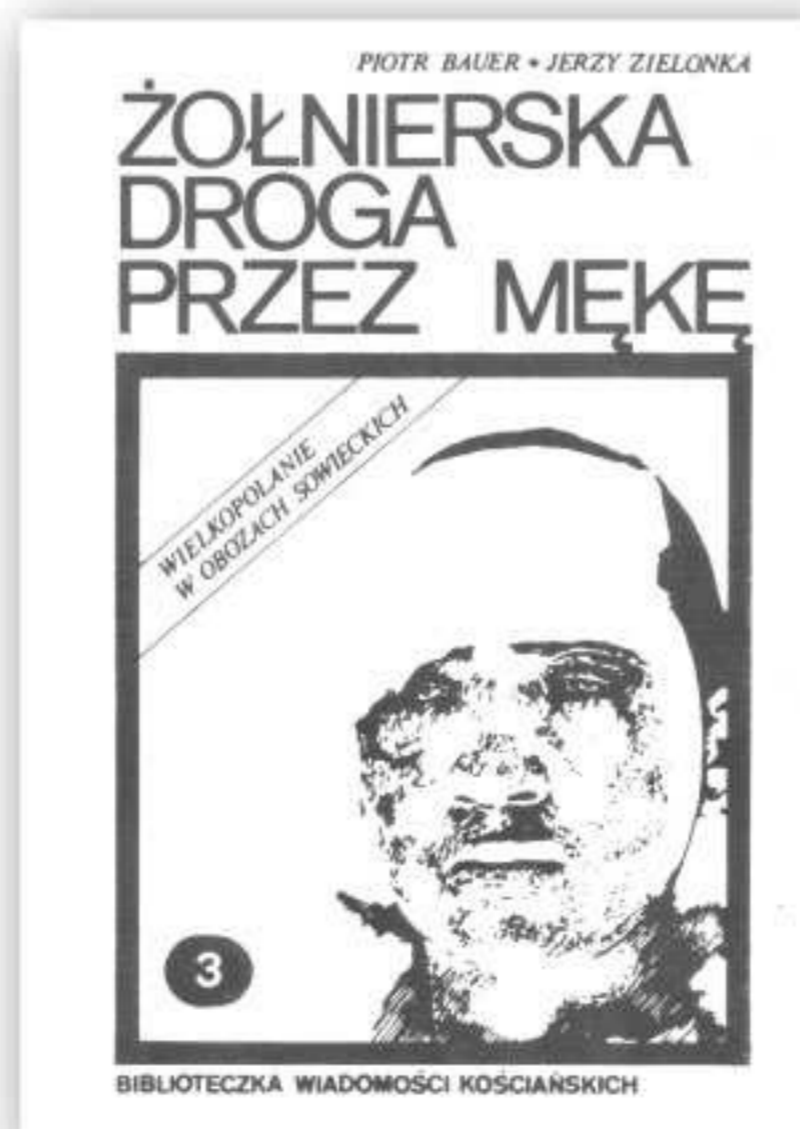
Przemilczanie działa jak obosieczna broń; tworzy legendy i symbole. Katyń stał się symbolem śmierci wszystkich polskich żołnierzy, którzy znaleźli się na terenach Związku Radzieckiego w 1939 r., a którzy nie wrócili z wojny, choć wielu z nich zginęło daleko od podsmoleńskich lasów i w bardzo różnych okolicznościach. Większość radzieckich, niemieckich i polskich źródeł zgodnie stwierdza, że w grę wchodzi losy ok. 21 tys. oficerów polskich. Tymczasem w grobach katyńskich odnaleziono 4163 zwłoki, spośród których zidentyfikowano - 2 815 osób. Byli to w przeważającej masie oficerowie z Kozielska. Liczby te odpowiadają tak zwanej „liście

katyńskiej”, którą posługuje się Polski Czerwony Krzyż. Twierdzi się przy tym, że w Katyniu nie rozkopano wszystkich mogił. Jedno wszakże jest pewne - nie wszyscy internowani w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku zginęli akurat w Katyniu.

Do obozów internowanych w Związku Radzieckim trafili także Wielkopolanie, wśród nich Kościaniacy. Różne rzuciły ich tam lasy. Najpierw plany obronne, które zdecydowały, że na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej tworzone zapasowe oddziały dla jednostek Armii „Poznań”, jak choćby Ośrodek Zapasowy Wielkopolskiej Brygady Kawalerii w Kraśniku pod dowództwem mjr. Juliana Fiszera z 15 pułku ułanów. Dalej - bieg wydarzeń na froncie, który sprawił, iż niedobitki wielkopolskich pułków - przebijały się na Wschód. Wreszcie - wielu Kościaniaków służyło w Korpusie Ochrony Pogranicza, na granicy polsko-radzieckiej. Tak się jednocześnie złożyło, że ku wschodnim terenom ówczesnej Polski ewakuowano niektóre jednostki służb wewnętrznych, w tym załogi wielkopolskich posterunków Policji Państwowej, niektórych funkcjonariuszy straży granicznej itp.

*

Przez ćwierć wieku zajmuję się problemem strat ludnościowych Wielkopolski w latach II wojny światowej.



Przez ten czas zgromadziłem wiele interesujących relacji i materiałów. Mogę dziś dać odpowiedź na pytanie, kto - ponad wszelką wątpliwość z Kościaniaków zginął w Katyniu. Ta lista nie jest wprawdzie kompletna, ale uwzględnia przypadki, co do których - nie powinno być jakichkolwiek zastrzeżeń. Byli to: ppor. rez. Józef Jakubiec, nauczyciel, Gierłachowo. Ostatni list rodzina otrzymała z Kozielska. Ppor. rez. Marian Kaźmierowski, asystent pocztowy, Kościan. Kpt. dr Stanisław Zdzisław Kozłowski, Kościan, lekarz KOP w Trokach. Por. rez. Marian Pruski, sędzia grodzki, Kościan. Por. Jan Puziak, żołnierz zawodowy Kościan, oficer 78 pp w Baranowiczach. Ppor. rez. Józef Rzepka, nauczyciel, Zgliniec. Ppor. Józef Skąlecki, nauczyciel gimnazjalny, Kościan. Por. Marcei Żółtowski, ziemianin, Głuchowo - ułan 17 pu w Lesznie, Ośrodek Zapasowy w Kraśniku. Ppor. Władysław Żak, nauczyciel Wyskoć. Wszyscy wymienieni przez pewien czas znajdowali się w Kozielsku; ich nazwiska figurują na „liście katyńskiej”.

*

W lesie katyńskim zwłoki zidentyfikowano po znajdujących się przy nich przedmiotach. Por. Pruski miał przy sobie świadectwo szczepienia i książeczkę oficerskiego żołdu. Por. Żółtowski - kartę wizytową, książeczkę oficerską i legitymację Krzyża „Virtuti Militari”. Podporucznik Skąlecki miał sporo dokumentów, wśród nich: świadectwo urodzenia, legitymację nauczycielską, dowód polskiej przynależności państwowej, kilka niewysłanych listów i medalion który otrzymał od matki.

WK nr 4/1988

** Tekst ten, którego fragmenty publikujemy, po mediacjach z poznańską cenzurą, okazał się pierwszym w oficjalnej prasie w Wielkopolsce, który przybliżył nas do prawdy o zbrodni katyńskiej i stał się zacznym utworzenia w Kościanie w 1988 roku - pod patronatem „Wiadomości Kościańskich” - Zespołu Naukowego do spraw Zbrodni Katyńskiej.*

Spis treści

Teresa Maśłowska: Jubileuszowe refleksje	2
Piotr Bauer: Melchior Wańkowicz zamachowcem	3
Ryszard Biberstajn: On nas rozpuszczał	7
Jerzy Brykczyński: Murzyn	8
Leon Chojnacki: Pedagog doskonały	9
Henryk Florkowski: Legenda Kościana	10
Rafał Frąckowiak: A więzienia zostaną	12
Piotr Gabryel: Epitafium dla Kisiela	14
Tadeusz Hofmański: To nie jest kwestia wspomnień	16
Tadeusz Jąder: Gniazdo Bukowieckich	17
Antoni Kaźmierczak: Istoty duże i małe	19
Marian Koszewski: Sylwetki księży katolickich	21
Juliusz Kubel: Blubry Starego Marycha	22
Bogdan Ludowicz: Portret na okładkę	24
Jan Pawicki: O śmigielskiej ciuchci	25
Grzegorz Pawlak: W krzywym zwierciadle	27
Roman Potok: Muzyczne początki Tadeusza Kościowa	28
Józef Świątkiewicz: O pięknej Joannie z Rąbinia	29
Adam Tomaszewski: Hotel na Poznańskiej ulicy	30
Marian Urbański: Reportaż ze starego Kościana	32
Eugeniusz Wachowiak: Idę do Ciebie Ojczy	35
Eugeniusz Wachowiak: Maciej Sterna z Chełkowa	35
Krystyna Winowicz: „Muzykalne” dzwony kościańskiej fary	38
Zdzisław Witkowski: Drop w okolicach Kościana?!	39
Zdzisław Wojtczak: Kryminał z myszką	40
Hubert Zbierski: Żona generała Dąbrowskiego	42
Jerzy Zielonka: Pacjent bez nazwiska	44
Jerzy Zielonka: Zginęli w Katyniu	47

wia do mości
kościana kie

Redakcja „Dodatku”: Teresa Maśłowska i
Jerzy Zielonka. Opracowanie graficzne –
Grzegorz Pawlak.